

DZIS I JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok V

Warszawa, 31 lipiec 1949 r.

Nr 30 (192)

1 SIERPNI

Powstanie Warszawskie pozostanie w dziejach jako wspaniały pomnik bohaterstwa żołnierzy Polski Podziemnej, wspaniały pomnik bohaterstwa żołnierzy Armii Krajowej. O bohaterstwie tym, jak i o bohaterstwie poprzednich lat walki, można mówić tylko ze schyłym czołem, tylko takim językiem przemawia napis na cmentarzu wojskowym powstańców: Gloria Victis.

W rocznicę Powstania trzeba zastanowić się chwilę nad olbrzymią wartością bohaterstwa. Ponieważ powstanie skończyło się klęską, ponieważ wróciło do Polski wielu żołnierzy z różnych daremnych pól bitew, żołnierzy rozczarowanych, niewierzących w ziemski sens i w potrzebę bohaterstwa, ponieważ podziemia zdegenerowała się, zasilila szeregi bandyckie i przedłużała stan wojenny w naszym kraju, ponieważ wszyscy wyszli z wojny straszliwie zmęczeni, straszliwie spragnieni spokoju, ponieważ wreszcie stoją przed naszym pokoleniem olbrzymie zadania pokojowej budowy — wielka cnota bohaterstwa bojowego straciła swój blask. Jest niedoceniana, często kroć lekceważona, a nawet uważana za szkodliwą przez duże kręgi tzw. rozsądnych ludzi. Sceptycznie ocenia też wartość bohaterstwa bojowego znaczna część najmłodszej młodzieży o nastawieniu pozytywistycznym, „realnym“.

Niejednokrotnie krytycznie ocenialiśmy w „Dziś i Jutro“ Powstanie Warszawskie i dawniejsze nieprzemysłane akty zbrojne naszej historii. Wypada więc dziś kategorycznie oświadczyć, aby odciąć się od tych wszystkich, którzy nie rozumieją czym dla narodu jest bohaterstwo, że potępiając np. Powstanie Styczniowe potępialiśmy jego polityczną nieodpowiedzialność i brak przygotowania wojskowego. Potępialiśmy lekkomyślność przywódców, którzy nie wiedząc o tym byli wodą na młyn Bismarcka; potępiając Powstanie Warszawskie, potępiamy tylko i wyłącznie tych, którzy je nieodpowiedzialnie wywołali, a następnie nieodpowiedzialnie pokierowali.

Na pewno myli się pozytywista, który nie narażając się potrafił uprawiać życie i myśli teraz ze współczuciem o poległych mówiąc: „Oni potrafili dla Polski tylko ginąć, ja potrafię żyć i pracować“. Praca to wielka rzecz i wszyscy walczymy o to, aby naród nasz mógł przez szereg pokoleń spokojnie pracować i aby już raz na zawsze przestał być polem bitew. Ale tylko wtedy naprawdę wielkie będą wyniki pracy, jeśli czerpać się będzie do niej siły z tego samego źródła, z którego czerpali siłę charakteru ci, którzy potrafili ginąć z wielkiej miłości wspólnej sprawy, bo tylko z niej rodzi się bezinteresowność, wspaniałomyślność, poświęcenie. Praca to trudna rzecz. I trudną, bardzo trudną rzeczą była ochotnicza, ofiarna śmierć żołnierska. Tak trudną, że w ogóle nie mieszcząca się w kategoriach pojęć wyznawców drobnego cwaniactwa. Mogą o niej mówić z lekceważeniem, bo w ogóle nie wiedzą o czym mówią.

Takie olbrzymie dowody zdolności do bohaterstwa, jak Powstanie Warszawskie, jeśli kończą się klęską są ogromnym potwierdzeniem ufności narodu we własne siły i stają się mimo wszystko źródłem optymizmu. I w tym leży ogromna wartość heroicznej epopei Warszawy.

Szkodliwie myślą się ci, którzy nie widzą ogromnych, leżących u podstaw wszystkich cywilizacji, wartości bohaterstwa bojowego. Lecz równie szkodliwie myślą się ci, którzy takie akty bohaterstwa jak Powstanie Warszawskie w całości mitologizują, chcą z nich mieć fetysz czy świętość narodową i w tych aspektach, w których żadną świętością nie były. Ludzie tacy, albo dyskusji o politycznej stronie Powstania w ogóle nie przyjmują, albo mówią, że sprawa jest jeszcze niedostatecznie wyjaśniona. Jest to najlepsza droga, aby Polacy jeszcze raz zmarnowali krwawą lekcję historii. Odpowiedzialność wywołania Powstania bez uprzedniego uzgodnienia działań i terminów z Armią Czerwoną spada na czynniki emigracyjne i ich sztaby.

Odpowiedzialność za skandaliczne nieprzygotowanie wojskowe spada na dowództwo Armii Krajowej. Odpowiedzialność polityczną z rządem emigracyjnym dzieli delegatura krajowa. Niestety odpowiedzialności te zazębiają się w sposób zawily i mętny. Dominantą i motorem dramatu była walka o władzę w nieistniejącym państwie. Walka, która dzisiaj, oglądana z perspektywy pięciu lat, jest już niewiarogodnie koszmarną groteską. Za takie przeoczenia, błędy i lekkomyślność jakich w stosunku do narodu dopuścili się w 1944 roku przywódcy rządu londyńskiego, Delegatury i Komendy Głównej, każdy zdrowy naród zwykły jest wymierzać najpełniejsze potępienie.

Dzień dzisiejszy jest rocznicą najtragiczniejszej w naszych dziejach lekcji odpowiedzialności politycznej i w tym też leży jego wielka waga.

Poza pomnikiem odbudowy, Warszawa musi postawić swym powstańcom pomnik, w jednym z najpiękniejszych swoich miejsc. Następne pokolenia, dla których dzień 1 sierpnia nie będzie już dniem żałoby, opiewać będą w eposach wielkie dzieje zburzenia miasta. Powstanie zostanie w historii Polski jako wielki mit heroiczny i wielka przestroga przed zbrodnią odpowiedzialności politycznej.

Trzaska

„WIGRY” NA WOLI

OD REDAKCJI

Poniżej drukowany fragment Trzaski jest — naszym zdaniem — tą formą relacji o Powstaniu Warszawskim, która najwięcej pomóc może w ustalaniu jego historii: po prostu dokumentem bezpośrednio przeżywanym dni walki.

Autor w opisywanych przez siebie wydarzeniach mówi na podstawie własnych, lub ludzi bezpośrednio z nim się stykających przeżyć. Czytając jego pamiętnik mamy do czynienia nie z utworem literackim, lecz z dokumentem. A dokumentów musimy gromadzić jak najwięcej, aby jak najlepiej poznać tamtą sierpniową prawdę.

**

Wystawiony przez organizację harcerską „Wigry” batalion „Wigry”, sięgający początkiem października 1939 roku, składał się w konspiracji z trzech kompanii: „Witold”, „Czesław” i „Edward”, oraz trzech plutonów samodzielnych, w tym san. łączn. kobiecy.

W końcu lipca 1944 r. batalion „Wigry” będący odwodem Komendanta Okręgu Warszawskiego AK, wszedł w skład Zgrupowania Odwodów, którego dowódcą został ppłk. Paweł. Dnia 1 sierpnia 1944 r. dowódca „Wigier” otrzymał o godzinie 9.30 rozkaz koncentracji batalionu na uprzednio wyznaczonych kwaterach na Starym Mieście, skąd w nocy z 1 na 2 sierpnia przerzucono batalion na Wolę.

„Wigry na Woli” stanowią fragment wspomnień dowódcy batalionu z pierwszego tygodnia powstania.

1. NA cmentarzu ewangelickim

Cisza panowała w przestronnych salach składu dewocjonalii firmy „Kasprzykiewicz i Szmakfefer” przy ul. Długiej. Od wczoraj, tj. od dnia 1 sierpnia 1944 r. zajęły je dowództwo i kompania „Witold” batalionu „Wigry”. Po pierwszych strzałach — i pierwszych ofiarach — noc przelotna zarówno ruchy powstańców, jak i nieprzyjaciela, którego czołgi zrzadka ciągnące z Miodowej przez Plac Krasieńskich skręcały czasem i w Długą.

Poza czuwającymi przy bramach posterunkami wszyscy inni mieli rozkaz przebywania na kwaterach i nie zdradzania niczym swej obecności.

Byliśmy pogrążeni w półśnie, gdy nieoczekiwanie około godziny 4 nad ranem nadszedł od podpułkownika Pawła rozkaz natychmiastowego wyjazdu batalionu. Ku memu zdziwieniu rozkaz wyraźnie wymieniał powstanie Laski, jako miejscowość, do której należało iść. Trasa prowadziła przez Bonifraterską, Muranowską, Stawki, cmentarze powązkowski i żydowski, oraz Wolę.

W niecałe dwie godziny później „Wigry” wraz z drugim batalionem Zgrupowania podpułkownika Pawła — znalazły się przemoczone nieco wczesnorannym deszczem, w obrębie wielkiego, pełnego zieleni i pomników parku, jakim wydał się nam cmentarz ewangelicki.

Zarządzono postój. Dopiero teraz miałem czas, by odnaleźć podpułkownika Pawła i wespół z jego szefem sztabu, rtm. Ludwikiem, omówić sytuację.

Była ona niejasna. Zgrupowanie złożone z batalionów odwodowych Komendanta Okręgu — Montera, nie miało z nim żadnej łączności. Ludwik parł do dalszego marszu, ja — zorientowawszy się z pierwszych kontaktów miejscowych, iż jesteśmy w rejonie działań oddziałów Kedywu K. G. — upierałem się przy pozostaniu tutaj.

Zdecydował podpułkownik Paweł, postanawiając na razie pozostać.

Wydałem dyspozycje rozlokowania batalionu. „Wigry” zajęły kaplicę Halpertów, służącą normalnie do nabożeństw przedpogrzebowych. Z posiłkami ze ścian żałobnych draperii urządzono postania, nieznacznie tylko chroniące od chłodu kamiennej posadzki.

Po zapoznaniu się z terenem i rozmowie z Plugiem, którego batalion „Parasol” obsadzał rejon ulic na południe od cmentarza ewangelickiego, obejmując cmentarz kalwiński, wyznaczylem kompanię „Witold” do obsadzenia barykady już usypanej na rogu Miynarskiej i Odrowąża. Barykada ciągnęła się przez całą ulicę, od muru cmentarnego do jakiegoś niewielkiego domku naprzeciw. Usypisko ziemi i kamieni pokrywała dodatkowa warstwa połamanych mebli, beczek i różnego chlamu. Porobiono w tym strzelnice, przy których już czuwali chłopcy. Jest tu jakaś drużyna miejscowa, którą majorują „Wigry”. Kamil — mój pierwszy zastępca i dowódca kompanii „Witold” — obejmuje dowództwo tego całego zespołu i „reguluje ruch”. Wadomagać go będzie — do czasu gdy zabraknie amunicji — moździerz piechoty, chytrze ukryty przy murze.

Kompanie „Czesław” wysyłam na lewe skrzydło. Od strony Górczewskiej — Leszna bronią dostępu oddziały „Parasola”, ale od zachodu, tak jak ciągnie się ulica Długosza, jest pustka. Wyznaczam Prokopowi ten odcinek. „Wigry” — nie ma tu poza nimi nikogo — obsadzają zalogą pojedynczo stojące jedno- i dwupiętrowe domki. Stałym dowódcą tej placówki zostaje por. Wojnicz, który ma ze sobą najlepszy pluton — 82/1912, złożony przeważnie z podchorążych, wychowanych i wyszkolonych przez „Wigry”. Był ich instruktorem i dowódcą w konspiracji.

Całą długą ścianę cmentarza od Miynarskiej obsadzają inne oddziały i na lewym skrzydle wigierska trzecia kompania — „Edward”.

2. Dom i zegar p. Szulca

Dowództwo Zgrupowania zajęło mały domek administratora cmentarza, p. Szulca. Dokonało się to właściwie pod wieczór, gdy zdecydowano, że noc z dnia 2 na 3 sierpnia spędzimy tutaj. Pan Szulca jest z tego naprawdę rad. Zaprasza nas — ppłk. Pawła i grupkę oficerów z jego otoczenia, byśmy weszli i rozgościli się. Korzystamy z tego chętnie, jako, że zmęczeni jesteśmy ruchem całego dnia, a i poprzedniej nocy mało kto przecie spał.

Wchodzimy do wnętrza. Korytaryk i niewielki pokój kancelaryjny nie mogą nas pomieścić. Wchodzimy — zapraszamy przez p. Szulca — dalej do niedużego saloniku, w którym jest kanapka, foteliki i pianino. Zjawia się herbata, chleb i sfołk smalcu. — To już z zapasów na czarną godzinę — śmieje się gospodarz, wlekając na sfołk. Wzbrania się początkowo, bo przecie tłuszczoć to rzecz cenna i trudna teraz do zdobycia, ale zachęcani p. Szulca i silny apetyt robią swoje; chleb ze smalcem zaczyna szybko mknąć.

Uwagę moją zwraca przede wszystkim por. Juliusz, dowódca specjalnego, uzbrojonego „po zęby” plutonu, nazwanego później „tygrysami Woli”. Juliusz jest średniego wzrostu rudawy, o twardy i postawie trykającej energii, poza tym nosi binokle. Wszysko przemawia za tym, że jest zdecydowany i bojowy, na razie jednak nie posiada „lwich pasów”, prze-

ciwnie, siada do pianina i gra. Melodie stare i nowe, polskie i obce. Pamiętam „Madelon” i „Serce w plecaku”, które było w tym czasie moją ulubioną piosenką.

Jest już dość późny wieczór, świece rozjaśniają salonik, ledwie pozwalając wyodrębnić sylwetki siedzących a Juliusz gra. Dopiero wejście pułkownika przerywa siestę: spać panowie!

Przechodzę z pułkownikiem i Ludwikiem do następnego pokoju. Jest to jadalny. Na ścianie wisi zegar, ciemnobrązowa skrzynka z miedzianą tarczą za szlifowanym szkłem. Zegar bije kwadransy i godziny, ale jak bije! Czysty, głęboki, dostojny ton, którego odgłos trwa, chwilę dźwięcząc nim zacichnie powoli.

Zegar wybija kwadransy, a my we trzech radzimy, bo sytuacja nadal jest niejasna. Łączności z Monterem nawiązać nie można. Wola jest właściwie otoczona, nieprzyjaciel zaczyna naciskać od Leszna i Górczewskiej. Wprawdzie dają tam sobie radę w ghetcie, na tyłach cmentarza, więc stamtąd jesteśmy zabezpieczeni, ale poza tym, lada godzina oczekiwać można koncentrycznego ataku na cmentarz, a wtedy, przy naszym słabym uzbrojeniu...

Ludwik radzi jak najszybciej, dopóki jeszcze są warunki, opuścić cmentarz i wyjść poza Warszawę w pierwotnie zamierzonym kierunku, na Laski. Ja nie mam na to ochoty.

Zegar bije godziny; dwanaście uderzeń sieje harmonię dźwięków, którą echo przedłuża nim zginą w nocy i ciszy. Wydaje mi się, że ten chłodny koncert przenika ściany domu i płynie w głąb cmentarza, by tam pozostać... w wieczności.

Dopalają się świece. Kładziemy się naprawdę spać; pułkownik na kanapie, ja i Ludwik na ziemi.

Ostatnia spokojna noc. Ostatnie, bez przeszkód, działania Chronosa zakłętego w zegarze p. Szulca.

Wczesnym, mokrym i chmurnym rankiem 3 sierpnia ppłk. Paweł zarządził wymarsz z cmentarza. Tryumfował Ludwik, który utrzymywał się przy swoim planie marszu na Laski. Byłem zły. Gdzie mamy iść? Poza Warszawę? A powstanie... przecież to dopiero początek, trzeci dzień...

Ale rozkaz był rozkazem. Siłamiłem w sobie wszelkie przejawy myśli — buntu, przygotowałem do marszu batalion i ruszyliśmy. Niedaleko. Niecały kilometr od cmentarza, wśród pól warzywnych i ogrodów maszerująca kolumna dostała się w silny ogień ckm'ów. Było jasne, że teren jest otoczony przez silnie uzbrojonego nieprzyjaciela, panującego z dogodnych punktów nad okolicą i że przejście przy własnym skromnym uzbrojeniu, w którym butelki z benzyną przestały odgrywać rolę, jest niemożliwe.

Zajęliśmy z powrotem stanowiska na cmentarzu.

3. Kapral Żelazo

Styki z nieprzyjacielem były od-tąd stałe, ale jeszcze w dniu tym od cmentarza odległe, toteż bała'on mógł myśleć o gospodarce, którą ułatwiały już wczorajsze chody na Stawki, gdzie były układy żywnościowe i mundurowe Wehrmachtu. Mianowany kwatermistrzem Zgrupowania por. Afy zaczął organizować kuchnię, przy gorącym poparciu okolicznej ludności. Była gorąca kawa, był chleb i dużo, dużo konserw mięsnych. Niezauważalnie plutony mundurowały się; spodnie feldgrau i nakrapiana „pantera” — bluzki ciemno zielone w brązowe plamki — stanowiły strój żołnierski, którego dopełniała także czapeczka.

Aktyw powstania stanowią białoczerwona opaska na prawym ramieniu.

Gdy sprawdzałem postępy w tych przemianach stanął przede mną dwudziestoparoletni robotnik.

— Eroze posłusznie o przyjęcie mnie do batalionu. Jestem kapral Zelażo, stary żołnierz i tutejszy wolski mieszkaniec. Mam tu swoich pięciu ludzi — takie chłopcy — dodał, wysuwając lewą rękę do przodu, co miało oznaczać, iż „chłopcy” są pełnowartościowi.

Zgodziłem się chętnie, przydzielając sekcje Zelażo Kamilowi.

— I eroze posłusznie o mundury — upomniał się służebiec Zelażo.

Mundury były, otrzymał więc sześć kompletów. Widziałem później cały zespół paradyjący w jednolitych uniformach w pobliżu barykady Kamila, a którym zaprzyjaźnił się na śmierć i życie. Byłbym jednak o nich zapominał, gdyby znowu nie kapral Zelażo.

Oto przed wieczorem, już po wizycie u dowódcy Kedywu siedzimy w jadalni, pod zegarem p. Szulca. Zegar wybija kwadrans, omawiam z pułkownikiem dzisiejsze zajęcia, w wyniku której ustala się nasz pobyt na Woli. Działamy nadal samodzielnie, naszym zadaniem jest obrona cmentarza.

Rozmowę przerwał szamotanie się w drzwiach służbowego i służącej pp. Szulców z jakimś chłopakiem, który uparcie chciał wstąpić do środka. — Pamię komendancie — zaczął krzyczeć doprzawszy mnie w pokój i nie zważając na obecność pułkownika — to dla pana od kaprala Zelażo!

Podniosłem się, co uciszyło wrzawę i teraz chłopiec wręczył mi — koszałkę. Wyciągnąłem z niej butelkę gorącej kawy, kawałek kielbasy i z dziesięć świeżo upieczonych bułeczek.

Kapral Zelażo prosi o zwrot koszałki i butelki — wyjaśnił dalej chłopiec, bardzo przejęty swoim zadaniem — jutro będzie nowa porcja.

Zakazałem mu przynieść cokolwiek, powiedziałem, że wszystkim mamy dęczyć, że mi nic nie trzeba. Chłopiec słuchał uważnie, kiwnął głową na znak że rozumie, po czym zabrał koszałkę i wyszedł.

A następnego ranka była świeża, gorąca kawa i jakieś kanapki, wieczorem tak samo i jeszcze pięćdziesiąt sierpnia, dopóki stały domy przy Młynarskiej.

Meldunek gońca brzmiał za każdym razem bez zmian; — Kapral Zelażo przysłał.

4. Pierwsze zrzuty

W nocy z 3 na 4 sierpnia obudził nas ruch i uciszenie na podwórku gwar. Za chwilę oficer służbowy meldował zrzuty. Awizowane i oczekiwane od dwóch dni, spadły wreszcie te zrzuty.

Dobry brak broni i amunicji był naszą najgłośniejszą troską, toteż warkot motorów, ogień niemieckiej artylerii przeciwlotniczej i lecące na spadkach zasobniki wprawily wszystkich w stan naderosnego podniecenia. Wpatrywano chętnie miejsca lądowania, rzucano się natychmiast w kierunku w którym, jak się zdawało, zasobnik powinien być upadł, dziesiątki jak wyciągało się po pakunek rozrywając go niemal na miejscu.

Nakazałem uniesienie znalezionych w naszym rejonie zasobników w jedno miejsce i sporządzenie ewidencji zrzutu. Trzeba go było zabezpieczyć przed własnowolnym rozdziałem. Zajął się tym Kamil.

W międzyczasie nadszedł Plug, przynajmniej z ramienia Kedywu K. G. zrzuty.

— Cała broń jest przeznaczona dla Kedywu — oznajmił spokojnie i stanowczo. — Za kradzież zasobników — sądzę polowy.

Jesteśmy zaskoczeni; przecież Kedyw ma broń. Dużo broni. A my mamy jeden peem na dwudziestu ludzi... Więc jak? Patrząc na twarze zgromadzonych dokoła zebranego zrzutu moich oficerów. Ich spojrzenia nie wrozą niczego dobrego. Patrzą surowo, zawzięcie.

Rozumiem; ci ludzie — Kamil, Prokop, Ateński, Akaga, Rogala, Prymus, Piorun, dowódcy kompanii i plutonów dowódcy ludzi bez broni — nie oddadzą tak łatwo tego, co już niemal mają w ręku. A ja? Czyż nie jestem odpowiedzialny za batalion? I teraz, kiedy choć w części można broń uzyskać, mam do tego nie dopuścić?

— Część broni zatrzymam dla „Wigier”, część — w tym ckm'y — przekazuję panu — rzucam sucho i nieprzejawnie Plugowi.

— Zameldujcie o tym w Dowództwie — żegna mnie równie sucho Plug, zabierając sporządzoną w międzyczasie ewidencję i wyjęte z zasobników instrukcje.

Patrząc na Kamila wrokiem w którym wyczyta można pytanie; czy ewidencja jest kompletna? Ale twarz Kamila jest nadal surowa i nieprzekonana, nic z niej wyczytać nie można. Po chwili podchodzi do mnie Rogala z płaskim pudełkiem w ręku.

— To dla pana, komendancie.

Otwieram pudełko. Leży w nim owinięty w brązową workówkę sześciostrefowy Smith-Wesson.

— A pan ma? — zapytuje.

— Mam. I jeszcze nas pięciu — odpowiada cicho Rogala i wręcza mi pudełeczko z nabojami oraz srebrzyście-biały sznur.

Dziękuję mu za broń gorącym uściskiem ręki. Pomaga mi zrobić ze sznura pętlę i uwiązać doń rewolwer, który będzie od tej pory ze mną zawsze, w dzień i w nocy, na Woli, na Starym Mieście i w Śródmieściu. Z niego strzelę z paru kroków do Niemca w walce o przejście górą ze Starego Miasta. Pożegnaj się z nim dopiero w dwa miesiące później, piętego października, przy składaniu broni w Domu Akademickim. Pożegnaj pocałunkiem i żołnierskim salutem, jak wiernego towarzysza, który dobrze spełnił swój obowiązek.

— Prześpijmy się jeszcze chyba — mówię do Rogali. Tak, jest jeszcze noc, cicha już teraz i nadal jasna od blasku księżycy. Melduję pułkownikowi Pawłowi o wynikach zrzutu i o incydencie z Plugiem. Obaj z Ludwikiem wypowiadamy zdanie, że następne zrzuty winny być wyłącznie dla nas.

Usiłuję zasnąć, ale przeszkadza mi natłok myśli wywołanych zrzutami; a więc nie jesteśmy sami, wiedzą i pamiętają o nas, jest i będzie pomoc! Przyjemne to myśli. Cóż, kiedy przecina je inna, silniejsza; broni masz ciągle za mało, batalion jest prawie bez broni!

Przewracam się więc z boku na bok, ile mam peemów, ile kb, ile pistoletów, dziele liczbę ludzi przez tę ilość i myśl niespokojna biegnie do Kamila; czy rzeczywiście ewidencja była kompletna, czy może jeden lub dwa zasobniki... znalazły się później.

5. Czyn Gryfa, jego śmierć i pogrzeb

W dwie godziny później — była małe czwartą nad ranem — zostałem zaalarmowany strzelaniem z kierunku barykady „Witolda”. Niemiecka artyleria złożyła z sześciu samochodów jechała Obozowa w kierunku Młynarskiej, by dostać się następnie na Leszno. Niespodziewanie dla siebie natknęła się na barykadę i musiała przyjąć walkę.

Czuwający tu po powrocie ze zrzutów Kamil dał rozkaz natarcia. Oskrzydlony zwoził Zza barykady wyskoczyła drużyna, dzieląc się na dwie sekcje; jedna poprowadził Jastrzębiec, drugą Gryf. Załoga wozów — ze dwudziestu Niemców — znalazła się na półku kartoflanym wtulonym między Obozową i Gostyńską, skąd otworzyła silny ogień.

Nie zatrzymało to nacierających; wzięli oni wroga w kleszcze, rażą go również ogniem i to celowo! Gryf był przecież kiedyś ogólnopolskim mistrzem harcerekim w strzelaniu, a ostatecznie instruktorem strzelnictwa i broni w „Witold”. Niemcy ponoszą więc straty. Zostawiając w kartofliku poległych i rannych cofają się do stojącego na zapleczu domu. Jeszcze chwila a będą w korzystnych warunkach, będą mogli uciec.

Do tego dopuścić nie wolno; Gryf pierwszy widziaria się na podwórku domu, tuż za Niemcami i bije po nich ogniem swego niezawodnego peemu. Wehrmachtowcy bronią się. Wwiążąc się musieli w walkę, nie zdążyli się ukryć, a teraz już nie uciekną. Strzelają z bliska.

Padła śmiertelnie rana Gryfa, padają jeszcze Biały I i Szary. Ale walka jest wygrana. Pociągnięci przykładem Gryfa chłopcy są tuż, tuż, otaczają Niemców, krzyczą do nich „Hände hoch!” Poddają się. Jeden oberleutnant i 8 żołnierzy. U nóg ich leżą ciała w feldgrau. A parę kroków bliżej leży Gryf.

Wiadomość o śmierci Gryfa przyjmuję z nieukrywaniem żalem. Raportuję mi o niej Kamil, który czuwał nad całą akcją i widział jej przebieg. Podkreśla inicjatywę i dzielność Gryfa, jego bohaterski zryw i wpływ tego zrywu na całą drużynę, więcej, na całą barykadę, która w walce tej otrzymała chrzest bojowy.

Jest to pierwsze nasze zwycięstwo, tym cenniejsze, że przyniosło poważny zastrzyk broni, którą wraz z amunicją i medykamentami znaleźliśmy w zdobytym samochodzie.

Jastrzębiec, dowódca drużyny i uczestnik akcji, podnosi wpływ czynu Gryfa na morale bojowe chłopców. Uważając go za swego bohatera, żałują go bardzo i proszą by miał pogrzeb — jak w piosence „z honorem wojskowym”.

Zgadzam się. Gryf i towarzysze; Biały I i Szary będą mieli pogrzeb wojskowy. Dziś w południe. I by utrwalic pamięć czynu Gryfa w „Witold” nadaje jego drużynie jego imię. Odtąd pierwsza drużyna I plutonu kompanii „Witold” batalionu „Wigry” będzie się nazywać drużyną „Gryfa”.

Oceniam wartość dzisiejszego epizodu, moralną i materialną dla nas, dla walki. Oceniam czyn Gryfa. Przedstawiam swoje oceny podpułkownikowi Pawłowi.

Pierwszy węgierski poległy, kapral z cenzusem Gryf będzie pierwszym w „Witold” kawalerem Wirtuti.

Na wyznaczoną godzinę 14 wszystko było gotowe. Pan Szulce zarządził przygotowanie trumien z desek znalezionych w przymentarnym składzie i wyznaczył miejsce, gdzie będą te groby. Oświadczył mi, że założy specjalną ewidencję poległych i że przewidział osobną dla nich kwatery. Kwatera ma więcej miejsc niż trzy, bo on, Szulce przewiduje...

Akceptuję te poczynania administracyjne; przecież to dopiero początek. A powstanie pewnie potrwa... jeszcze parę dni... Więc słusznie p. Szulce przewiduje.

Tymczasem na placu na kaplicę Halpernow ustawiają się plutony honorowe. Przyjmuję raport, by za chwilę złożyć go podpułkownikowi Pawłowi. Przed frontem oddziałów stoją trzy trumny, na każdej wiązanka kwiecista. Każda ma... co to? Nogi w długich butach, wystające z trumiennych pudeł?

Tak, Deski były za krótkie, czy też stolarz źle wymierzył, dość że zwolki nie mogły się zmieścić. Musiano więc odbić poprzeczną ścianę trumien i wysunąć z nich nogi na zewnątrz.

Uformował się kondukt. Poszło naprzód powstańcze wojsko poprzedzone krzyżem, potem przyjaciele nieśli na ramionach trumny i kwiaty, potem szło pięć czy sześć osób cywilnych, pułkownik Paweł, Kamil, Prokop, koledzy...

Nie było księdza, odmówiłem więc nad otwartym grobem Ojciec Nasz i Zdrowas.

Gdy grabarze sypali ziemię ukazały się na niebie wraże samoloty, które zaczęły po raz pierwszy rzucać bomby i ułotki. Zreagowane w najgorszej polszczyźnie ułotki, podpisane przez „gen. Bora” nawoływały powstańców do natychmiastowego złożenia broni.

Ułotki srebrnym stadkiem trzepocących się papierków spadły na cmentarz. Bomby leciały początkowo na śródmieście, by potem przenieść się w nasz rejon. Lotnictwo nieprzyjaciela weszło do akcji.

Tak to z honorami wojskowymi pogrzebaliśmy Gryfa i towarzyszy.

6. Bomby. Akaga, Feliks

Nasze patrole weszły w styczność ogniową z nieprzyjacielem już 3 sierpnia. Wiedziałem względnie dokładnie, gdzie przebiega linia frontu na zachód i południe od cmentarza. Od północy ubezpieczała nas częściowo barykada Kamila, dająca wgląd w stronę cmentarza żydowskiego od wschodu (tytuł cmentarza ewangelickiego) stykali się z oddziałami Radosława.

W piątek, 4 sierpnia, pierścień frontu od Leszna — Górczewskiej zacieśnił się znacznie i podsunął pod węgierską placówkę na Długosza. Ciężkie czołgi nieprzyjaciela grasowały w tamtym rejonie, niszcząc dom po domu; poszerzały i zabezpieczały sobie w ten sposób arterię wylotową, tępiąc powstańców i ludność cywilną, zostawiając ruiny i gruzy.

Sam cmentarz był jak dotąd bazą, do której nieprzyjaciel jeszcze nie dotarł. Zielona plama cmentarnego prostokąta musiała przecież niepokoić Niemców, którzy wyczuwali, że właśnie ten rejon cmentarny jest zapleczem dla powstańców, którzy nokoło tego terenu stawiali opór. Istotnie, ghetto w części obsadzone przez zgromadzenie Ke Dywu było głównym bodaj że ogniskiem akcji powstańczej; naturalnym przedłużeniem tegoż był cmentarz, obsadzony przez batalion „Wigry”.

Tę redutę powstańcza zakamulowana zielenią drzew, obroną murami, pomnikami i sklepionymi grobami należało zniszczyć. Takie musiały być założenia niemieckiego oberkommando kierującego akcją przeciw powstańcom, gdyż już od najwcześniejszych godzin rannych dnia 5 sierpnia cmentarz zaczął otrzymywać wielorodzajowy ogień.

Kładł ten ogień pociąg pancerny, pasami, po kilku dzielnicach cmentarnych, rzucali swoje złośliwe pociski założenia niemieckiego oberkommando kierującego akcją przeciw powstańcom, gdyż już od najwcześniejszych godzin rannych dnia 5 sierpnia cmentarz zaczął otrzymywać wielorodzajowy ogień.

ty i po kilku okrażeniach zaczęły rzucać bomby.

Siedziałem z podpułk. Pawłem i rtm. Ludwikiem w saloniku domku p. Szulca rozpatrując poranne meldunki, gdy wywołano mnie na zewnątrz. Oczekiwali na mnie Ateński, Rogala, Prymus i Piorun. Powietrze pełne było warkotu motorów, cmentarz co chwila buchał z głębi hukami pękających pocisków.

— Prosimy o minutę dla nas — powiedział Rogala.

Zrobiliśmy może pięć, sześć kroków, gdy przeraźliwy świt powalił nas na ziemię. Przygłębiliśmy wszyscy do niej, wcisnęci między groby. Bomba, duża bomba! Samolot zrzucił ją z niskiego lotu; celował w dom, a więc w siedzibę naszego dowództwa, trafił o kilkanaście kroków dalej, na szczycie od strony ulicy. Dom p. Szulca zachwiał się, zarysowały się i częściowo rozpadły ściany. Z ram i futryn drzwi i okien pozostały tylko strzępy.

Rzuciliśmy się wszyscy do wnętrza w którym przed chwilą zostawiliśmy ludzi. Korytarz i pokój służbowy — zdemolowane. Na ziemi leżą poskręcane i krwawiące zwłoki trzech gońców. W następnym pokoju zastajemy zabitego podporucznika, zastępcę kwatermistrza oraz ciężko rannego rtm. Ludwika.

Odłamki drasnęły również ppłk. Pawła i lekarza zgrupowania. Mieli się ku wyjściu — temu zawdzięczali ocalenie.

Samoloty lecą znowu. Padają bomby po drugiej stronie Młynarskiej, również na Długosza i na cmentarz.

Wiew grozy przechodzi przez odcinek. Jeden z odłamków naruszył dawne urządzenia sygnalizacyjne i teraz syrena alarmowa umieszczona na dachu piętrowego domu przy Młynarskiej i Długosza wyje przeraźliwie i długo. Nie można jej uspokoić, bo dojdzie do domu i na dom zniszczone, więc wyje, zanosi się wyciem bez przerwy. Warczą jeszcze kłujące samoloty, padają bomby, strzela na cmentarz działło z pociągu pancernego, strzelają granatniki. Są nowi zabici i ranni; ich jęków i szlochów osób im najbliższych nic zagłuszyć nie zdoła.

Ukazuje się Prokop. Przyszedł z Długosza. Jest podniecony, jak człowiek, który ma ważne wiadomości.

— Podchodź do nas — wypowiada szybko. — Wojnicz dzielnie się broni.

— Utrzymaj się? — Powinien. Ale jest ciężko. Idzie piechota, są strzelcy wyborowi, bardzo niebezpieczni, samoloty zrzuciły już parę bomb i latają znowu.

— Słuchaj Prokop, o zejściu z Długosza nie ma mowy, rozumiesz?

Dostaniesz pomoc, ale wytrzymać musicie!

Prokop kiwa głową, że rozumie i wie, że zrobię wszystko by mu pomóc.

Ochodzę w głąb cmentarza, wzywany do pułkownika Pawła. Jest na prowizorycznym punkcie opatrunkowym, gdzie Akaga opatruje mu lekko zranione plecy.

Nie poznaję Akagi; jakby przygaszony od pierwszego dnia powstania, nagle odzyskał energię i objął bezapelacyjnie władzę nad sanitariuszami, rannymi; wydaje rozkazy fachowo i pewnie, ustala kolejność opatrunków, poucza, decyduje... sam jednocześnie pracuje szybko, sprawnie, umiejętnie.

Uprzymiarniam sobie teraz, że Akaga, dowódca kompanii „Edward” i mój adiutant w „Centrum” był kiedyś studentem medycyny. Podziwiam lekkość jego ręki i posłuch jaki natychmiast zyskuje u otoczenia.

Pułkownik już opatrzonej, dwóch, trzech następnych także...

— Czy rotmistrz Ludwik jest już w szpitalu?

— Tak jest, panie pułkowniku.

Chwila milczenia.

— Pan będzie szefem sztabu Zgrupowania.

— Rozkaz, panie pułkowniku. — Musimy się przenieść w głąb cmentarza. Niech się pan tym zajmie. Potem proszę do mnie.

Wybieram rejon grobów, w którym będzie kwatera dowódcy. Wybieram miejsce dla siebie — grobowiec rodzinny Liedke. Jest to kapliczka o otwartych teraz żelaznych drzwiach, prowadzących do podziemnego, murowanego wnętrza, w którym stoją trumny, mniejsza i większa.

Grobowiec znajduje się tuż przy głównej alei cmentarnej, prawie przy skrzyżowaniu z drugą, węższą, łatwo to miejsce wskazać i odnaleźć.

Zawracam ku kaplicy Halpernow i ku nadwyżonemu budynkowi administracyjnemu. Szuka mnie Prokop.

— Wojnicz ranny! Feliks zabity! Atak odparty!

— Oddycham z ulgą. Niespokojny byłem o ten trudny do obrony teren.

— Wojnicz ranny, Feliks zabity — powtarzam teraz jak echo.

Prokop podaje mi szczegóły. Mówi o samolotach, bombach lotniczych, które spadły wczoraj tuż przy naszej placówce; Wojnicz ranny właśnie od bomby. Mówi o strzelaniu, o tym, jak Niemcy skokami od domu do domu usiłowali podejść na wysokość placówki, by stamtąd mieć tylko 150—200 kroków do cmentarza.

Nie puścili ich chłopcy. Granatami, celnym ogniem z kb. i peemów zagrozdził drogę. Prokop mówi o zaścięści chłopców w walce, ich dzielności, doraźnej inicjatywie i pomysłowości. Podnosi walory dowódcze Wojnicza i Campbella.

Jestem dumny i cieszę się wespół z Prokopem z takich żołnierzy, bo są to nasi najstarsi służbę z najmłodszych, przez „Wigry” wychowani i przeskoleni. Zdają teraz egzamin.

Feliks, Feliks..., myślę o tym sprawach naraz, że nie uprzytamiam sobie o kogo chodzi...

Prokop widzi moje zakłopotanie. Powtarza smutnie: no, Feluś, Feluśski.

Usłyszany przed chwilą meldunek o odparciu ataku wywołał odprężenie. Już wiem, już wiem. Coś boleśnie ścisła mnie za serce; Feluś, Feluśski. I już wiem dokładnie, że Feliks dzisiaj to tyle, co Feliksi dawniej. Nie żyje? Przecież wczoraj...

Nie ma czasu na wspomnienie, na żal. Idę odwiedzić rannego Wojnicza (jest jeszcze na placówce), jego zastępcę Campbella i chłopców, powiedzieć im parę dobrych słów i — sprawdzić odcinek.

Bo będziemy się tu dalej bili.

7. Podchorąży Zaremba i inni

Niespodziewanie melduje mi się Zosia Gozdawa, sierż. szef samodzielnego plutonu san. łączn. kobiet w „Witold”. Razem z nią jest podchorąży Zaremba. Są to pierwsi przybysze z zewnątrz; mają dobre miny i dobry, żołnierski wygląd. Cieszą się, że dołączyli się do swoich. Odsyłam ich do „Czesława”.

Gozdawa ma lat może 19, może 20 i kocha się w podchorążym Bożeńcu, szefie kompanii „Czesław”. Podchorąży Zaremba natomiast — to wiem na pewno — ma lat 17. Musiał uzyskać moją specjalną zgodę, by dostać się do Podchorążówki, ukończył ją w maju i został najmłodszym podchorążym w „Agricoli” i w „Witold”.

Poznałem go na wieczorne zgrupowanie wigierskiego podporucznika Lecha I, na kilka miesięcy przed powstaniem. Był to bardzo miły wieczór, a urozmaicił go właśnie Zaremba, kuzyn przysięgi pani Lechowej a prawnuk, po kadzieli, gen. Kruszewskiego z 1830 roku. Opowiadał kawały, urządził pantominy, bawił wszystkich. Do dziś pamiętam, jak „odstawiał” patoninę „Mój kask, on ma trzy rogi”.

Pokładaliśmy się wtedy ze śmiechu. Wykorzystano wówczas mój dobry nastrój; na prośbę Zaremby (który jeszcze wtedy „Zaremba” nie był), poparta gorąco przez Lecha — zgodziłem się... Zaremba został uczniem „Agricoli”.

Spotkałem go w parę miesięcy później, na egzaminie końcowym. Był wymuszony, nauczony, odpowiadał przytomnie, inteligentnie. Komisja egzaminacyjna (ostral) wystawiła mu oceny dodatnie. Uzyskał tytuł podchorążego. W dwa tygodnie później, na uroczystej zbiórce wigierskich absolwentów „Agricoli” sam mu wręczyłem dyplom, wielkości i formatu dla pułkownika od zapatek, oraz oznakę. Z oczu biła mu młodzieńcza radość i duma.

Spotkałem go po raz czwarty — tu, na cmentarzu. Był ten sam, radośny, uśmiechnięty, figlarny. A przy tym promieniejący powstającą suchością. Miał na sobie kurtkę, na kołnierzu której widniały dwa duże białoczerwone proporce Naramienniki obszyte były białoczerwonym sznurkiem podchorążackim. Dwie białe kaprale lśniły srebrem. Stroju dopełniał pas koalicyjny z poręczką. Uśmiechnąłem się mimo woli.

— Gdzieś się tak ustroił? — zapytałem — uważaj na siebie — dodałem natychmiast poważnie, nie czekając na odpowiedź.

Odeszli na odcinek, do kompanii, mało dbając o strzały, o niebezpieczeństwa czyhające zewsząd.

W kilkanaście godzin później Zaremba nie żył. Poległ broniąc ul. Długosza.

W tym też czasie poległ kapr. chor. Józefski z I turnusu podchorążych wigierskich i strzelec Kismet, jeden z najmłodszych w „Witold”.
Dokończenie na str. 4.

Zygmunt Jakimiak

KATECHIZM KSIĘDZA ZIEJI

Już samo słowo katechizm przypomina mi dzieciństwo i to najwcześniejsze. Nie mam prawie żadnych wspomnień z okresu przed nauką katechizmu, natomiast samą naukę pamiętam doskonale. Jest to jakby początek mojego życia świadomego i samodzielnego. Moja bowiem pierwsza spowiedź i Komunia święta, a więc i umysłowe przygotowanie do nich były skutkami własnego, samodzielnego postanowienia. Miarem pobożnych rodziców i liczne starze rodzeństwo, ale nikt nie myślał o „przewczesnej” nauce i praktyce sześciolatniego chrześcijanina, który pasał gęsi, był więc w domu pożyteczny. Ale ja pozazdrościłem starszym kolegom, którzy już byli u spowiedzi, albo się zapisywali „na katechizmy”. Poza tym — kusily mnie wycieczki z licznymi kolegami co dzień do kościoła, odległego o pięć kilometrów, ciekawilo mnie, co się tam robi. Oświadczyłem więc w domu, że będę chodził na katechizmy, sam się zapisałem i chodziłem na naukę. Ścisłszym określeniem będzie bieg. Starsi bowiem koledzy przez całą drogę biegli na wysoki w obie strony, a ja nie mogłem zdążyć z nimi i często płakałem ze złości. Za to zawsze „wyrwiałem się” na każde zapytanie księdza katechety. Koledzy straszili mnie, że jestem za młody, że ksiądz mnie nie dopuści do komunii i będę musiał chodzić jeszcze przez drugi rok. Wówczas udałem się do proboszcza po wyjaśnienia. Ale ksiądz machnął ręką. „Wolę nie widzieć na drugi rok tak niesforne bęwało”. W taki sposób, wbrew wszelkim trudnościom, dokonałem rzeczy nie słychanej, sam zresztą o tym nie mając pojęcia. Byliśmy po spalaniu, więc matka poszła na wieś szukać dla mnie jakiegoś ubrania do Komunii św. Przyniosła coś białego, w czym się okropnie wstydziałem. Wolałbym tysiąc razy moje ubranie od gęsi. Ale trzeba było przejść to upokorzenie dla ogólnego dobra.

Wspominam te czasy nie tylko z powodów sentymentalnych. Wydaje mi się, że każdy dorosły człowiek z pojęciem katechizmu kojarzy pojęcie dzieciństwa, przy czym nadaje temu pojęczeniu tylko ujemne znaczenie. Katechizm, ich zdaniem, dobry jest tylko dla dzieci, a więc jest niepoważny, dziecinny. Nie jest to nauka dla dorosłych. W taki sposób odnoszą się i do praktyki życia religijnego, której uczy tenże katechizm. Dobra jest Komunia św. ale pierwsza, dziecinna. Spowiedź, pokuta, moralność katolicka, dobra w abstrakcji, ale nie do zastosowania w praktyce dorosłego człowieka. Cała nauka i praktyka katolicka stają się odległą, nierzeczywistą, płótką, bajką, utopią. Myślę, że taką postawę można podciągnąć pod pojęcie katolików z metryki.

Dorastają oni i starzeją się, kształcąc się we wszystkim, prócz religii, która uważają za dziecinną. Gazeta jest im Pismem Świętym, które codziennie pilnie czytają, teatr, kino — kościołem, w którym się modlą modlitwą uwielbienia i doznają wzruszeń najgłębszych, zdobycie majątku uważają za coś sakralnego, a przygotowanie do niego, czyli naukę jaką by ona nie była, za jedyną, nieomylną mądrość. Okrzyczany poeta i uczonej jest ich prorokiem i wyrocznią. Bez porównania większą wagę przywiązują do słów Renana, niż Chrystusa, nie mówiąc już o papieżu. Karność kościelna, święte posłuszeństwo władzom apostołskim uważane jest za śmieszny przeżytek ciemnego średniowiecza.

A wszystko to pochodzi z ignorancji religijnej. Dziecko nauczy się i wie tyle, ile mu potrzebne. Ale dorosły katolik niczego się nie uczy, a wiedzę dzieciństwa od dawna zapomniał. Jakież więc pojęcie może mieć on o re-

ligii? Nie większe, niż o żelaznym wilku. Obyczaje katolickie, praktyka życia mogą mu być równie obce, jak obyczaje Samojedów.

Temu stanowi rzeczy zapobiega katechizm. Jest on wykładem nauki Kościoła, wyciągiem z Pisma Świętego i autorytatywnych orzeczeń soborów i papieży najważniejszych punktów doktryny katolickiej. Zawiera on najważniejsze wiadomości o Bogu i Kościele oraz najistotniejsze wskazówki moralne dla postępowania praktycznego. Czy są to rzeczy potrzebne? Dla katolika są one najważniejsze ze wszystkich. Bez nich nie może być katolikiem. Wiedza o Bogu jest mu podstawą i trzonem wszelkiej innej wiedzy, jaką kiedykolwiek zdobędzie, a nakazy moralne nauczą go właściwego postępowania w każdej sytuacji życiowej w duchu katolickim.

To jest katechizm. Oczywiście, jest katechizm dla dzieci, tak samo, jak jest nauczanie podstawowe w każdej dziedzinie wiedzy. Jest jednak i katechizm dla dorosłych i wykształconych katolików, tak samo, jak dużo do zdobycia ma w każdej dziedzinie wykształcony nawet uczonej, czy fachowiec. Wszelka wiedza rozszerza się w miarę jej poznawania, jak powiększa się widnokrąg w miarę wznoszenia się do góry. Nawet i bardzo wykształcony katolik znajdzie zawsze w katechizmie mało znane i przemysłane dziedziny, a zawsze obfity materiał do rozważań, natchnienie do twórczości, podjęcie do właściwego myślenia i działania. Można powiedzieć, że każde spojrzenie jest pierwsze, cokolwiek widzimy, widzimy po raz pierwszy, choć byśmy to oglądali po wiele razy przed tym. Za każdym bowiem razem widzimy coś nowego i świeżego. To prawidło psychologiczne odnosi się w szczególności do Pisma Świętego i katechizmu, bo

księgi te są szczególnie bogate, w treść umysłową, moralną i estetyczną, której nie sposób za jednym, czy nawet tysiącnym razem wyciągnąć. Całe życie człowieka nie wystarczy do tego. Przy tym każdy czerpie z nich co innego, coś, co tylko dla niego jest przeznaczone, pożyteczne i właściwe, a dzięki czemu będzie mógł przeżyć swe życie szczęśliwie, bogato, pięknie i mądrze.

Wie o tym od dawna Kościół i wzywa wiernych do czytania katechizmu, równie, jak i Pisma Świętego. Udzielił za to wielkich odpustów tak, za czytanie, jak i za nauczanie.

Dotychczas, należy przyznać, były to czynniki, zniechęcające, szczególnie inteligencję, do czytania katechizmu. Po pierwsze, nie było dobrego katechizmu dla dorosłych. Był, co prawda, wielki Katechizm dla Proboszczów, napisany na zlecenie soboru trydenckiego, ale może trochę za duży, napisany po łacinie, (nie wiem, czy było jakie polskie tłumaczenie) i w ogóle trudny do znalezienia. Jest też katechizm kardynała Gaspariego, przejrany i uznany przez komisję watykańską, dobrze przetłumaczony na język polski przez ks. Kozłowieckiego, ale i ten, choć obszerny, jest trochę przestarzały, graficznie wydany niedbale, i, jak na dzisiejsze czasy, wadliwie ułożony. Razi w nim forma dialogu, w którym odpowiedź powtarza całe pytanie (sprawia to rzeczywiście dziecinne wrażenie), choć, należy to przyznać, dialog taki stawia wyraziście kwestie i mocno je uwypukla, wbiłając dobrze w pamięć i wrażliwość w umysł. Poza tym, wszystkie podstawy rozwiązań poszczególnych zagadnień, jak cytaty z Pisma św., Ojców i Doktorów Kościoła, orzeczeń i konstytucyj soborów i papieży, są w nim podane oddzielnie, na końcu, jako załączniki. Taki układ jest niewygodny

dla czytelnika, bo zmusza go za każdym pytaniem do szukania, gubi się przy tym stronice, przerywa ciągłość myśli. Poza tym — i o ten katechizm jest obecnie trudno.

Toteż wielką zasługą ks. J. Zieji jest opracowanie i wydanie oryginalnego „Katechizmu Życia Chrześcijańskiego” (Pallotinum 1949, str. 340, cena 1.000 zł.). Jest to wielka pozycja wydawnicza. Układ treści jest prosty, jasny, zwięzły. Nie ma pytań i odpowiedzi, tylko wykład punktami, co bardzo upraszcza i uprzyjemnia treść. Wielką zaletą książki jest zwięzłość wyjaśnień. Krótkie, zwarte zdania zawierające głęboką, szeroką i nieskończoną treść, nad którą można medytować latami i wciąż wysnuwać z niej coś nowego. Ale najważniejszą i najcenniejszą rzeczą w Katechizmie jest obfitość Pisma Świętego, przytoczonego na poparcie i wyjaśnienie twierdzeń, zawartych w toku wykładu. Pismo Święte jest książką nad książkami. Znałem niewierzących, którzy przyznawali się, że poza Pismem św. nie czytają żadnych ksiąg. Jest ono niedoścignionym arcydziełem zarówno wyrazu artystycznego, jak moralnego i umysłowego. Jest w niej i cały człowiek i bardzo dużo Boga, tak dużo, że wystarczy do nasycenia całej ludzkości. Czy kto chce, czy nie chce, musi przyznać, że natchnienie tej księgi jest nie z tego świata. Jest w niej życie, duch, moc, mądrość, wedy i miłość w stopniu niepojętym, po prostu nadprzyrodzonym, nawet w świeckim znaczeniu tego słowa. Bo jest to księga bezprzykładna w dziejach literatury. Każde twierdzenie Katechizmu, poparte zdaniem Pisma Świętego, nabiera od razu koloru, wyrazu, życia, jasności. Katechizm, jak to już zaznaczyłem jest wyciągiem z Biblii, wyciągiem, uczynionym przez Kościół pod przewodnictwem

Ducha Świętego, ale zawsze wyjątkiem jest czymś, co nie daje dobrego pojęcia o samej rzeczy. Wyciąg jest abstrakcją z konkretną, obrazem uproszczonym, a więc uboższym, słabym odbiciem rzeczy; kolory, kształty, życie są z niego usunięte. Może dlatego katechizmy, rozpowszechniane dla nauki w innych, są nudne, suche, odpychające. Jest w nich tylko treść umysłowa, nie ma obrazu, życia, świeżości, jaka przystoi tak ważnym i wielkim pouczeniom. Otóż ks. Zieja zdał sobie doskonale sprawę z tego wielkiego braku i zaradził mu, jak mógł, najlepiej. Na każde suche, umysłowe twierdzenie podaje on zaraz kilka zdań Pisma św., na podstawie których Kościół głosi podawaną prawdę, albo które wyjaśniają i obrazują tę prawdę.

Cytaty są podawane natychmiast po twierdzeniu, tak, że czytelnik nie potrzebuje ich sam wyszukiwać, a przez to zachowuje ciąg myśli i nastroja. Przy tym, obraz i wyrazistość Pisma św. daje mu odprężenie i orzeźwienie w czasie treściwego, suchego, wymagającego napięcia, wykładu.

Pismo św. jest uzupełnione cytatami urzędowych orzeczeń Kościoła, a więc soborów, papieży, Ojców i Doktorów Kościoła. Przez to Katechizm staje się nie tylko żywy i łatwy do czytania, ale i bardzo przekonujący i pouczający. Obok pouczeń, mamy dokumenty, źródła, coś w rodzaju małej encyklopedii. Z tych względów „Katechizm” stanie się bardzo użyteczny dla pisarzy, publicystów katolickich i całej inteligencji.

Bardzo ważną cechą „Katechizmu” jest jeszcze jego czystość nauki ewangelicznej, surowość i powaga, wielka śmiałość, jaką daje niezłomna konsekwencja. Skoro Bóg mówi „nie zabijaj”, to zabijać nie wolno, poucza nas autor. Ani na wojnie, ani prawnie zabijać się nie powinno. Jeżeli się zabija na wojnie i w sądzie, jest to skutek ludzkiej niedoskonałości. Boże Prawo za to nie odpowiada w żadnym razie. Mówi ono najwyraźniej i stanowczo: „Nie zabijaj”. Podobnie ma się rzecz z kłamstwem. W żadnym razie, pod żadnym pozorem, nawet dla żartu kłamać nie wolno. Absolutnie i nieodwołalnie.

Wykład prowadzony jest według Składu Apostołskiego, który zawiera wszystkie prawdy wiary i nakazy moralności, jeśli nie wprost, to wewnętrznym. „Katechizm” jest wyczerpujący, zawiera nawet szczegóły obrzędów przy praktyce Sakramentów św. Bardzo miłą jego częścią są ustępy, poświęcone stosunkowi do Ojczyzny i ludzkości, z punktu widzenia religii. Wiersz Norwida o Ojczyźnie, Bogurodzica, podane bardzo piękną czcionką, obrazują nam ten stosunek w całej jego czystości i uroku. Rzadkie, ale bardzo dobre artystyczne ilustracje, nadają całości, odpowiedni powagę i nastrojowi książki, ton.

„Katechizm Życia Chrześcijańskiego” wyrównuje wielki brak w naszej literaturze kościelnej. Należy też się spodziewać, że wyrówna on jeszcze większe braki w umysłowości naszych katolików, zarówno z inteligencji, jak ludu, dorosłych i dzieci. Bo książka jest wszechstronna, pod względem użytku. Ktoś powiedział słusznie, że dla dzieci ledwie arcydzieła są dobre. Powiedziałbym, że „Katechizm Życia Chrześcijańskiego” jest arcydziełem geniuszu miłości, czystości i umiaru. Od chwili, gdy się ukazał, nikt nie będzie miał żadnej wymówki dla swej nieśmiałości religijnej, bo pod żadnym względem nie można go zlekceważyć, a kto go weźmie do ręki, musi się zachwycić.

Mam nadzieję, że spełni on swą rolę lepiej niż o tym marzył autor.

Z. Jakimiak

ANDRZEJ WIRTH

POEZJA

Jerzemu Zawleyskiemu

*Już nade mną zapadły przeznaczenia,
z dłoni nie czytajcie mi losów.
Pójdę drogą nieominieją
za horyzont. Poza kres twego głosu.*

*Widziałem oczy samotnych;
nie szukać tam światel ni cieni.
Wspomnisz zatopione okręty
u smutnych brzegów milczenia.*

*Na próżno odwracasz mnie twarzą
od nieocfniętej chwili.
Zegnaj. Do tych miast już nie wrócę,
choćbyś nieba wschodom przychylił.*

*Będę biegł tak na przelaj siebie.
Nocą wyjdiesz naprzeciw imgromom.
Nie chcę twoich Wysp Szczęśliwych.
I imbiru. I cynamonu.*

*Ty mi twarde dni rzucaj pod nogi;
z nich twardsze niż diament rytmy.
Kiedyś jeśli cię dobiegnę —
to jak żołnierz wśród bitwy.*

*Idącego gdy zetrzesz w pół drogi,
upadnę, lecz nie ukleknę.
Na dnie oka zatrzymam
spojrzenie twe nieobojętne.*

*Przeklęta. Błogosławiona.
Dolo dobra i dolo zła.
Niezamknięty kłamrą czasu rytmie.
NAJWAŻNIEJSZA Z WSZYSTKICH MOICH
SPRAW.*

„WIGRY” NA WOLI

(Dokończenie ze str. 2-giej)

16-letni, jednak, oczko w głowie swej matki. Był żołnierzem z konspiracji, ledwie wprowadzonym w rzemiosło wojenne. Stał się na koncentrację, jak wielu innych, przyszedł na Wolę — i tu został.

Ciała ich wobec silnego i trwałego ostrzału pozostały na placu boju.

8. Noc „w grobowcu”

Noc w grobowcu rodziny Liedka nie należała do najprzyjemniejszych. Wprawdzie od wieczora ogień działowy i granatników ustał, przestało również działać lotnictwo, ale spokoju pełnego nie było. Paliły się w pobliżu, od zachodu i północy, liczne domy, niebo było czerwone od pożarów, a ta czerwoność rzucała światło na cmentarz, pozwalając rozróżnić kontury pomników, kapliczek i sylwetki ludzi. Czasami chmury dymu przenikały przez gęstą gałęzi, tworząc zmieniającą się co chwila dziwaczne kształty.

Dniem dzisiejszym byłem bardzo zmęczony. Całodzienny, stały obstrzał cmentarza, walki z kierunku ul. Długosza i natarcia na cmentarz od strony zachodniej — na szczęście dziś jeszcze odparte — pożary wkłóły i wędrowki ludności cywilnej, uciekającej przed niechybnym mordem z rąk wroga-zbira złożyły się na całość ponurą i męczącą.

Ciążyła mi do tego bardzo odpowiedzialność za dalszy wynik obrony cmentarza, którego współkierownictwo, związane z funkcją szefa sztabu Zgrupowania, od dzisiejszego rana przeszło do moich rąk.

Niepokój budziły braki w broni i amunicji.

Bolały niezmiernie dotychczasowe straty.

Siedziałem oparty o wieko większej z trumien, stojących w grobowcu. Usiłowałem usnąć. Daremnie!

Jakie to dobre były czasy, kiedy bałem się nieboszczyków, grobów, cmentarzy. Toż jeszcze jako uczeń szóstej klasy gimnazjalnej odwracałem głowę w przeciwną od cmentarza stronę, gdy późnym wieczorem wracałem do domu a droga wiodła obok starego, pełnego uroków „miasta umarłych”.

Teraz mi jest wszystko jedno, że moja głowę dzieli od głowy kościotrupa metalowa, niezbyt gruba pokrywa... teraz mi jest wszystko jedno, że siedzę, półleżę w grobowcu na cmentarzu, wśród starych zmarłych, wśród młodych zmarłych...

Nie, nie dlatego nie mogę usnąć...

Pod wieczór obszedłem rejon cmentarza, wszędzie tam, gdzie mogłem dotrzeć. Zebrałem meldunki, informacje z całego dnia. Wiem gdzie jest, czy był nieprzyjaciel, wiem jak nacierał i już wiem, jak nacierać będzie jutro. Znam nasze stanowiska obronne, stany broni (ilość ludzi tu nie ma znaczenia), odwody.

Pocieszam się, że na cmentarz przybył oddział „Pięści”, dobrze uzbrojony, bojowy. Robili już dziś wypad, bezskuteczny wprawdzie, przeciw wykazują aktywność. Podpułk. Paweł uzgodnił z ich dowódcą, majorem Okoniem, iż będą się trzymały w północno-zachodniej części narożnika cmentarza, dając dozór na Kirkut. Są zresztą samodzielni, mam utrzymywać z nimi kontakt.

Ale ta pociecha — to mało. Nic nie wroży poprawy sytuacji, która jest rozpaczalna, bo przewaga wroga jest zdecydowana, a nasze siły są bardzo, bardzo mizerne... ludzie są, ale broni nie ma, broni nie ma! I nie będzie!

Więc co będzie?

Jeszcze nie wiem. Okaze to dzień jutrzejszy. Jedno jest pewne — będziemy się bronić, będziemy się bić! To, że nie mam złudzeń, przeszkadza mi spać. Czy tylko mnie? Oto szuka mnie Kamil, szuka Prokop; łącznik służbowy kieruje ich w dół, do grobu.

— Barykadą „Witold” w porządku — mówi Kamil na moje pytające spojrzenie, uchwycone w blasku zapalonych zapalników.

— Rejon Długosza w porządku — dorzuca natychmiast Prokop.

— Co będzie, co będzie — wyczuwam z kolei ich niepokoju.

Nie wiem. I podpułkownik Paweł nie wie. Tu nikt nie będzie wiedział. Zobaczymy jutro.

Przyznają mi rację. Co tu można wiedzieć? Dziś było tak, jutro może być zupełnie inaczej. Może runie na nas grad bomb z kilku eskadr samolotów, może baterie dział otworzą koncentryczny ogień i po kilku minutach zesrodkowania będzie po nas... Może uderzy dywizja SS Hermann Goering i zmiecie nas z powierzchni

samym ogniem swojej broni maszynowej...

A może... będzie cicho. Może „coś” się stanie...

Nie umiemy na to odpowiedzieć, ale żaden z nas nie wierzy aby „coś” się miało stać; wyobraźnia nasza nie dopisuje.

Zmieniamy temat. Mówimy o naszych stratach. Szkoda, wielka szkoda tych ludzi. Bo proszę:

— Gryf — to znany ogrodnik i obywatel warszawski,

— Feliks — młody i zdolny inżynier-architekt,

— Józefski, Zaremba, Kismet — młodzi chłopcy, podchorążowie, uczniowie.

— Szary, Biały I i inni, nieznamy mi — również młodzi chłopcy.

Takich strat łatwo odrobić się nie da...

— Eh, ten inteligentki batalion...

— I harcerek — dodaje Kamil.

Pierwszy poległy — Gryf — harcemiistrz.

Drugi poległy — Feliks — harcemiistrz.

Inni poległy — żołnierze harcerekiego batalionu.

Szkoda.

Gdybyż tylko na nich wyczerpała się lista poległych...

9. „Zwolnić nieuzbrojonych”

Od świtu 6 sierpnia jesteśmy wszyscy na nogach. Kamil i Prokop na barykadach, ja przy kaplicy, skąd ogarniam cały odcinek.

Strzelanina już się rozpoczęła. Na cmentarzu jak i wczoraj sypie się deszcz ognia. Zakwitają wybuchy pocisków, częściej dzwonią po grobowcach odłamki. Słychać już zupełnie wyraźnie bliższe serie cekaemów i krótkie peemów. Strzały z kb. odawane przez obrońców kryjących się za ogrodzeniem cmentarnym odbijają się krótkim lecz głośnym echem o gęstwinę drzew.

Natarcie niemieckie idzie szeroką ławą na front cmentarza od Młynarskiej i od boków.

Lewy narożnik cmentarza, zrujnowany do administracji i znajdująca się obok brama główna pilnowane są przez Rogala. Jest to punkt nieważliwy tego odcinka, gdyż blisko jest stąd do skrzyżowania ulic i tędy prowadzi droga na ulicę Długosza, gdzie nadal walczy „Czesław”. Za wszelką cenę trzeba tę drogę utrzymać wolną, bo inaczej „Czesław” będzie odcięty. Prawy róg cmentarza — styk z Kirkutem — zajmuje mur Okoń. W pobliżu czuwa pplk. Paweł.

Nadchodzą coraz to nowe meldunki. Z wrastającej na którymś z odcinków strzelaniny wiem, że tam naciśka nieprzyjaciel.

Ale chęć odparcia, pokonania wroga, jest wielka. Stanowiska nasze trzymają się mocno. Ubędzie czasem ktoś, zastępują go natychmiast inni; ludzi jest dość, czekają swojej kolejki na broń...

Z daleka widzę Kamila. Idzie ku mnie z twarzą surową, złowrobną.

— To już koniec...

Nie rozumiem o co mu chodzi. Czego koniec? Przecież walcymy.

— Koniec powstania — mówi Kamil. — Rozmawiałem przed chwilą z Pługiem, jest na odcinku. Mówi, że wszystkie obliczenia zawiodyły, że na pomoc liczyć nie można, że powstanie przegrał. Oczywiście bić się trzeba, zwłaszcza bronić trzeba cmentarza, ale to jest reduta stracona. Cmentarz jest bardzo ważny, dlatego bić się tu trzeba do końca.

Proszę Kamila, by sprawdził Prokopa. Sam idę odszukać Pługa. Chcę się upewnić, czy Kamil nie przeceniał czegoś. Ale Pług powtarza mi to samo.

— Bić się trzeba, bronić cmentarza trzeba.

— Czy pan sądzi, że cmentarz stracimy?

— Jestem tego pewien, to kwestia godzin. Ale właśnie o te godziny chodzi.

— A cóż będzie z nami? Mamy tyłu bez broni...

— Uzbrojeni biją się do końca. Nieuzbrojeni są zbrojni.

Rozmowa nasza urywa się. Miała charakter poufnej rozmowy dwóch dowódców, znających się z konspiracji.

Melduje o wszystkim podpułkownikowi Pawłowi i uzyskuje jego potwierdzenie.

Kamil i Prokop czekają. Mam już gotową decyzję; wszystkich nieuzbrojonych rozmunduować i zwolnić. Uzbrojeni biją się dalej.

Wracam do swego m. p. pod grobowiec Liedtków. Dzień jest, jak i poprzednie, pogodny. Słońce stoi wysoko, bo to przecież już godzina

ósma, dziewiąta. Pociski omijają szczęśliwie mój rejon. Pałają się domy w pobliżu cmentarza, choć linia przy Młynarskiej jeszcze stoi cała.

Zostaję na chwilę sam na sam z sobą. Oto powziąłem decyzję, najcięższą z dotychczasowych.

„Zwolnić nieuzbrojonych”.

Było ich do tej pory około 100. Stawili się na koncentrację, przymaszrowali na Wolę, do tej pory nie brali bezpośredniego udziału w walce z powodu braku broni, na którą daremnie czekali od początku. Są to oficerowie i podchorążowie, podoficerowie i strzelcy — nieomal wszyscy z konspiracji, ideowi, wierni, przeszkoleni przez nas... nasi żołnierze, „Wigry” — kość z kości, krew z krwi...

Więc po to przez pięć lat byli z nami po to włożyli tyle wysiłku, po to narażali się w trudzie i niepokojach okupacyjnych dni i nocy, by teraz, po pięciu dniach walki już zaczętej i prowadzonej jeszcze, zrezygnować ze służby?

Lecz czy obecność tych ludzi poprawi w czym sytuację bojową? Czy pomoże walczyć? Przecież mamy się bić do końca i bić się będziemy do ostatniego. My, którzy mamy broń w ręku, drogo sprzedamy swe życie, ale oni, bez broni... toż wyrzyna ich co do nogi, wyrzyna tak, jak to robią z ludnością cywilną...

Zarządzą zbórkę. Tłumaczą krótko sytuację. Nakiżują rozmunduować się, cały powstańczy ekwipunek pochować do opuszczonych grobowców i grupkami lub pojedynczo przejść możliwie w rejon Starego Miasta, na dawne kwatery koncentracyjne i tam czekać na dalsze rozkazy; można też udać się do miejsc, które każdy sobie sam wybierze, lecz już na własną odpowiedzialność.

Pozegnanie ma podkład tragiczny. Nikt poza mną nic nie mówi, o nic nie pyta. Odchodzący nie znają wszystkich elementów decyzji, rozumieją jednak, że walka toczy się będzie bez nich. I — że mają iść w nieznanne. Pozostający dowódcy — obok mnie jest Kamil i Prokop, pozornie spokojni — żegnają swych żołnierzy, swoje dzieło, mozołnie w podziemiach przygotowywane, które oto teraz wydaje się być bezużyteczne, zmarnowane.

Ścisłam dłoń najstarszemu z odchodzących, kapitanowi Ateńskiemu, ścisłam dłoń lekko rannemu por. Prymusowi, por. Piorunowi, ppor. Campbellowi, por. Akadze... Oby Bóg...

Za chwilę robi się pusto. Kilku jeszcze sprząta rejon, usuwając do grobowca resztę panter, furazerek, chlebaków, pasów — niedawna zdobytych ze Stawek i wypadów.

Zostajemy sami, dowódca i zastępcy dowódcy batalionu. Ale czy jest jeszcze batalion? Po tylu stratach, po odejściu „bezbronych” — zostało za ledwie po plutonie z każdej kompanii.

Przecież jesteśmy spokojni. To co się stało przyniosło nam ulgę. Każdy z nas, który tu został, ma broń. To daje poczucie siły. A ulga nasza płynie stąd, że nasi ludzie, którzy tu zostają, już nie są stadem przeznaczonym na rzeź... są żołnierzami. Mogą stracić życie, ale mogą i życie odbierać. W równej, przynajmniej teoretycznie równej walce.

Kamil wraca na barykadę. Proszę go, by sporządził dokładny raport pozostałej broni i amunicji.

— A ty, Prokop, pójdziesz na Stare Miasto — wypowiadam dawno powzięty zamiar. — Trzeba się zająć tymi, co tam poszli i tam zostali po naszym wymarzeniu. Jeżeli my nie wrócimy (myślę o sobie i Kamile), to trzeba żeby został ktoś z konspiracji, kto wie wszystko o tych pięciu latach i pięciu dniach... to będziesz ty i dlatego musisz iść.

Prokop odmawia stanowczo. Dadać sobie radę bez niego. Zresztą, czy to ważne, żeby ktoś wiedział jak to było z nami w ciągu tych pięciu lat? Czy historia musi mieć świadków? — Zakładaliśmy razem „Wigrv”, więc się teraz razem... kończymy! Zostaję z wami.

Był to jedyny rozkaz, którego Prokop nie wypełnił i jedyny wypadek, iż nie wyciągnąłem z tego konsekwencji.

10. Walka o mur cmentarny

Cmentarz bronił się nadal. Ranny został Rogala i z nim czterech żołnierzy. Meldunki doniosły o tyralierze Wehrmachtu idącej od zachodu na Młynarską. Barykada „Witolda” raz po raz otwierała ogień — oścześnie, ale konieczny. Załoga ul. Długosza prosiła o wsparcie — groziło im odciecienie.

Podniosłem z tego powodu oddział Juliusza. Chłopcy byli już dziś kilka razy w akcji, wypędzając Niemców z przedpola. Trzeba było to zrobić jeszcze raz. Poszli wraz ze mną, bez zbytniego entuzjazmu na razie. Przeskoczyliśmy na drugą stronę Młynarskiej, obeszliśmy zabudowania i wpaśliśmy w ogrody warzywne przetykane drzewkami. Ogrody były w pełni swej krasy, owocne urodzajem późnego lata. Przygłębiliśmy do ziemi tyraliera powstańcza. Kule nieprzyjaciela szły wysoko nad nami.

Tam są Niemcy — wskazywałem kierunki i cele.

Ale przyszło „tygrysy Woli” już poczuły nieprzyjaciela. Zorientowały się w mię gdzie jest, wyczuły bezpieczne doświadczenie, przegrupowały się do akcji... Poszli naprzód, okrążając planowo cele i koncentrując na nich ogień.

Nieprzyjaciel pierzchnął. Niebezpieczeństwo zostało odsunięte, łączność z „Czesławem” nawiązano.

Wracam na cmentarz. Z tego wglądu w przedpole widzę, że jeżeli nieprzyjaciel rzuci tu trochę więcej piechoty, to zlikwiduje ona Długosza i niechybnie dojdzie do Młynarskiej tymi samymi ogrodami, w których byłem przed chwilą, a które wraz z domami na swoim zapleczu chronią od ognia z cmentarza.

Ostrożnie ściągamy więc część ludzi „Czesława” z Długosza na cmentarz, tam gdzie stał przedtem Rogala. Bronić mi będą dostępu z południa.

Południe bowiem zaczyna grać zwycięż; biją stamtąd długie serie. Boję się niespodzianek z tej strony, więc śle patrol: wigierskie, do stojących tam dowódców.

Sprawa mi satysfakcję czuwanie nad całością walki, kierowanie jej przebiegiem, używanie do akcji nie tylko własnych ludzi, ale i z innych oddziałów. Właściwie nikt nie wie, kto ja jestem, a przecież słuchają, wykonują rozkazy, meldują...

Nad całością czuwa podpułk. Paweł z kwatery w pobliżu mjra Okonia. A Okoń doszedł do tego samego wniosku co ja, że przedpole mamy niepewne i postanowił spalić drugą stronę Młynarskiej. Poszły rozkazy. Zaczęto podpałać małe, biedne domki. Żołnierzy pomagają mieszkańcy, których tu jeszcze zostało nad podziw wielu. Powychodzili teraz wszyscy ze swych kryjówek i palą własne siedziby bez słowa protestu czy skargi, bez ociągania się.

Barykada Kamila przylega właśnie tuż do takiej starej, białej chałupiny. Chłopcy na barykadzie muszą się teraz przesuwać bliżej muru cmentarnego, bo dym jest gryzący a za chwilę będzie tu ciepło, gorąco...

Zelazo ze swoją piątką uwiija się wśród domów, podkłada ogień i czuwa by nie zgasł; zresztą od czego benzyna? Piątku kaprala Zelazo to nieźli podpalacz!

Teraz cmentarz jest oazą w morzu płomieni. Zaczyna na nim być nie tylko gorąco z powodu ognia działowego i granatników, ale i upalnie z powodu pożaru.

Ściana ognia na Młynarskiej skutecznie osłania mury cmentarne i stojących za nim obrońców, za to coraz silniejszy ostrzał pokrywa cmentarz. Obrońcy są już bardzo zmęczeni. Atmosfera zniszczenia i czyhającej zewsząd śmierci, przed którą trudno się jest obronić, kładzie swoje piętno na ludziach.

Przychodzą do mnie dwaj młodzi z OS „Juliusz”.

— Proszę pana — mówią bardzo nie po wojskowemu — my idziemy.

— Idziecie? Dokąd?

— Pewnie na Stare Miasto. Tu już nie ma co robić. Zginęli marnie.

— To mówią ci sami chłopcy, z którymi parę godzin temu byłem w akcji na przedpolu. Uzbrojeni, z amunicją. — Gdzie por. Juliusz? — pytam. — Gdzie poszedł — odpowiada wymijająco. — My też pójdziemy. — Nie wolno odchodzić. Bronimy się przecież wszyscy; potrzebni jesteśmy.

Ale chłopcy nie dają się przekonać. Mają widocznie odmienne zdanie, od którego odstąpić nie chcą.

— Zresztą powiedzcie to pułkownikowi — sięgam do ostatniego argumentu.

Odchodzą niechętni do grupki swoich, która czeka na wynik. Widzę, jak po chwili krótkiej narady tych samych dwóch odłącza się, by znaleźć pułkownika.

Idę za nimi. Zawiadamiają krótko, że tu „nie ma co robić”, że zdecydowali wyjść z cmentarza. Pułkownik ich zatrzymuje, mówi o dezercji. Wzruszają się

mionami i nie odpowiadając odchodzą.

Po chwili cała grupka, rojem, klucząc między grobami udaje się w kierunku tyłów cmentarza, gdzie jest wielka dziura w murze. Tamtey prowadzi droga na Powązki i na Stare Miasto.

— Panie pułkowniku, taki dobry oddział — kiwam z żalem głową.

— Ale to nie wojsko — burczy pułkownik — co chcą, to robią. Za długo działali na własną rękę, teraz nie słuchają.

Dezercja „Juliusza” w niczym zresztą nie zmienia sytuacji. Czujemy się niemal otoczeni nieprzyjacielem i ogniem pożaru, bici artylerią (może to strzela pociąg pancerny?), granatnikami, ogniem cekaemów i strzelców wyborowych. Powstańcy wyciągają wyrok i słuch. Każde zbliżenie się nieprzyjaciela powoduje natychmiast reakcję ogniową.

Cmentarz broni się.

11. Prymus czyli pierwszy ze Starego Miasta

Po południu nieoczekiwanie melduje mi się patrol wigierski ze Starego Miasta; por. Prymus, dwóch podchorążych, sanitariuszka Ola Wrečka.

Witam ich, jak gości nie z tego świata, chowam do grobowca.

— Prymus, co jest?

— Doszliśmy szczęśliwie i trafiliśmy do swoich. Lech II, Zaremba, Brzoza, Roman — ci, którzy zostali, gdy myśmy wyszli na Wolę, zorganizowali drugi batalion. Czekają na resztę „Wigier”, na ciebie. Jest też Platon, Grajewski, Marusza...

— A na Starówce spokojnie?

— Tak, jak dotąd.

— Gdzie stoicie?

— W Ministerstwie Sprawiedliwości. Zajmujemy cały gmach. Przyszedłem ci to wszystko powiedzieć... Ścisłam mocno Prymusa. Cieszę się. Wiem ci, dzisiaj zwolnieni, nie zaginęli... są bezpieczni i znowu w „Wigrach”!

Rozmowę naszą przerywa łącznik zzywający mnie do pułkownika Pawła.

— Ewakuujemy się na Stare Miasto — komunikuje mi spokojnie pułkownik. — Proszę to przygotować.

Co za zbieg okoliczności! Takie wieści od Prymusa i taki rozkaz od podpułkownika Pawła! Jeszcze parę dodatkowych pytań. Oddalam się, by pomyśleć chwilę nad oderwaniem się od nieprzyjaciela, opuszczeniem barykad, drogą, którą będziemy szli, ubezpieczeniem się.

Wracam do grobowca. Prymus i cały patrol są już na zewnątrz. Sanitariuszka Ola zdążyła już opatrzyć dwóch rannych.

— Prymus! Wracaj na Stare Miasto i powiedz, że będziemy przed szóstą!

— Tak jest — przyjmuję do wiadomości Prymus.

— Jest rozkaz opuszczenia cmentarza — dodaje cicho.

Służbowa rozmowa skończona. I Prymus i ja rozglądamy się po cmentarzu, który wydaję się nam nagle jakimś bardzo bliskim i przyjemnym berenem. Może to, że jakby osłabił ostrzał, może to, że południowe słońce barwi ten widok, ale znajdujemy obaj, że tu jest ładnie...

— Odmeldowuję się — salutuje Prymus.

Idę do przodu.

Tu, przy murze cmentarnym czekam aż zbiorą się chłopcy i oddziały rusza. Wyklocam się jeszcze z Okoniem o niesłusznie zabraną „Wig-om” broń. Poszli już ranni. Dają znak wymaneurowania Kamilowi. Pójdzie inną drogą niż ja. Rzućmy jeszcze raz okiem na Młynarską, która stoi cała w wysokim ogniu. Biję od niej żar.

— Ruszamy — krzyczę do Prokopa.

Otaczają mnie chłopcy z „Czesława”, reszta załogi z Długosza. Poznając podchorążych: Nietykę, Kocha, Stasiuka, Roberta, Kańskiego, Zbycha. Innych — jakże wielu — nie znam osobiście.

Idziemy, by zatrzymać się chwilę przy otworze w murze. Jest to już koniec posesji cmentarnej, otwór prowadzi na Kirkut.

— Pułkownik Paweł? — pytam dowódcę czekającego tu patrolu.

— Przeszedł — pada odpowiedź.

Dają znak ręką. Kański i Robert znikają w otworze pierwszy, jako przewodnicy znający drogę. Kolejno przechodzą przez otwór i wglębiamy się w porośnięty krzewami teren. Pełno na nim płaskich pomników i płyt z hebrajskimi gwiazdami i napisami.

Za nami, w sierpniowym blasku słonecznym, obramowanym czarną gęstwiną dymów, pozostał cmentarz.

Aleksander Rogalski

Literatura zakazana

Zarówno władze okupacyjne jak i niemieckie czynniki demokratyczne w trosce o uzdrowienie i odnowienie kultury niemieckiej za jedno z pierwszych swych zadań uznały usunięcie z czytelnictwa niemieckiego wszystkich dzieł szkodliwych z punktu widzenia wychowawczego i politycznego, to znaczy wyeliminowanie z życia całej literatury okresu hitlerowskiego, a z dawniejszych lat tych utworów, które noszą na sobie piętno nacjonalizmu, obskurantyzmu politycznego i antysemityzmu.

Początek tej akcji dał magistrat berliński, który sporządził pierwszą listę książek zakazanych. Książki takie musiały zostać usunięte z księgarń, czytelni i bibliotek publicznych, ale wolno je było posiadać w bibliotekach domowych.

W strefie angielskiej i amerykańskiej uznano dotąd przynajmniej za właściwe nie ustalać tak szczegółowych katalogów. Powściągliwość ta obarczyła wychowawcze organy rozmaitych urzędów oświatowych ciężką odpowiedzialnością i była przyczyną licznych ich scysyj z właścicielami księgarń i bibliotek, a na łamach gazet toczyły się długie i namiętne dyskusje, które wykazały wielką różnorodność opinii, w odniesieniu do tego, co podciągnąć pod kategorię „Schund — und Schmutzliteratur“, literatury brukowej i szkodliwej politycznie.

Dopiero w dniu 13 maja 1946 Aliancka Rada Kontrolna w Berlinie wydała rozkaz nr 4 o wycofaniu literatury i prac o charakterze nacjonalistycznym i militarystycznym. Rozkaz brzmi następująco:

„Z uwagi na niebezpieczeństwo, jakie przedstawia teoria narodowo-socjalistyczna, i w celu najszybszego wykorzenia doktryn narodowo-socjalistycznych, faszystowskich, militarystycznych i antydemokratycznych, obojętnie w jakiej formie znalazły one wyraz w Niemczech, Rada Kontrolna rozkazuje:

1. wszystkim właścicielom bibliotek publicznych, księgarń i składów oraz zakładom wydawniczym w ciągu dwóch miesięcy po ogłoszeniu tego rozkazu złożyć komendantom wojennym i innym przedstawicielom władz sojuszników:

a) wszystkie książki, broszury, czasopisma, dzienniki, matryce, rękopisy, dokumenty, mapy, plany, śpiewniki i utwory muzyczne, filmy i przezrocza włącznie z przeznaczonymi dla dzieci każdego wieku, zawierające propagandę narodowo-socjalistyczną, nazistowską, podburzające do gwałtów i skierowane przeciwko Narodom Zjednoczonym,

b) wszelki materiał, który przyczynia się do wychowania i wykształcenia wojskowego, albo pomaga do zachowania i rozwoju potencji wojennego wraz z podręcznikami i materiałem szkolnym wszelkich szkół wojskowych, jak również różnego rodzaju instrukcje, regulaminy, wskazówki, przepisy, mapy, szkice, plany itd. dla wszystkich rodzajów wojsk i służb wojskowych;

2. wszystkim byłym państwowym i miejskim bibliotekom, rektorom uniwersytetów i dyrektorom szkół wyższych i średnich oraz instytutów badawczych, prezydentom akademii, naukowych i technicznych towarzystw i zwią-

ków, jak również dyrektorom gimnazjów, wyższych i niższych szkół elementarnych poleca się w ciągu tego samego okresu usunąć ze wszystkich podlegających im bibliotek całą wymienioną w paragrafie 1 narodowo-socjalistyczną i militarystyczną literaturę, złożyć ją w pełnym porządku w specjalnych miejscach wraz z katalogami i przekazać przedstawicielom wojennej komendatury lub innych alianckich władz;

3. za całkowite i terminowe przekazanie książek tego rodzaju i materiałów odpowiedzialni są zarówno ich posiadacze jak i burmistrzowie i lokalne władze.

4. kontrolę nad wypełnieniem tego rozkazu wykonują władze wojskowe lub inni przedstawiciele władz okupacyjnych;

5. wszystkie w rozkazie tym wymienione wydawnictwa i materiały należy dostarczyć dowódcom stref w celu ich zniszczenia.

Rozkaz, ogłoszony w trzech oficjalnych językach, podpisali: gen-leutn. Dratwin, gen-leutn. B. B. Robertson, gen. broni L. Koeltz i gen-leutn. Lucius D. Clay.

2.

Wkrótce po ogłoszeniu tego rozkazu urząd oświaty w strefie sowieckiej w Niemczech wydał listę literatury, która miała zostać usunięta z życia niemieckiego. Lista sporządzona została przez „Książnicę niemiecką“ (Deutsche Bucherei) przy współpracy urzędu wychowania miasta Lipska i wydana w formie wygodnej, szarej, 500 stron liczącej książki, „by wszystkim urzędowi i osobom, które pracują w dziedzinie czytelnictwa lub bibliotekarstwa ułatwić usunięcie książek o treści faszystowskiej lub militarystycznej, książek, propagujących idee ekspansywne, narodowo-socjalistyczną teorię ras lub zwracających się przeciwko Sprzymierzonym“. Obejmując 15.000 tytułów książek i 500 czasopism stanowi ona dotąd najobszerniejszy tego typu wykaz. Trzeba tu nadmienić, że poprzedziły ją: lista wydana przez krajowy urząd wychowania w Turynii, mało przejrzysta w układzie treści, i lista, wydana tylko dla użytku służbowego przez wydział oświaty magistratu berlińskiego.

Mimo to lipski indeks bynajmniej nie chce uchodzić za kompletny. Ma on tylko na celu podać do wiadomości, jakie pisma i dzieła zostały jednocześnie uznane za zakazane przez międzyalianckie władze wojskowe. Wiele dzieł, w których idee wyżej wymienione (faszizm, militarizm, ekspansja, rasizm, wrogość wobec sprzymierzonych) zawarte są tylko w poszczególnych ustępach lub fragmentach, natomiast nie zostały wysunięte na czoło, postanowiono do piero później poddać szczegółowe mu badaniu. Starano się nie potępiać w czambuł, co tylko w nieznanym stopniu wykazuje niepożądaną tendencję, badano i rozważano starannie unikając wszelkiego pedanterii, nie zawsze jednak unikając nadmiernej tolerancyjności.

Tak więc tylko w rzadkich wypadkach na indeksie umieszczono całokształt twórczości autora: ograniczono się najczęściej tylko do usunięcia dzieł „inkryminowa-

nych“. W pierwszej linii więc potępiono generalnie twórczość Adolfa Hitlera i jego dworaków: Goebbelsa, Goeringa, Streichera, Baldura von Schirach, Schemma i i., a także mowy i pisma Schachta (w sumie dwadzieścia). Natomiast do Augusta Winniga, znanego dawniejszego demokraty i później szego prezydenta Prus Wschodnich, który potem przeszedł do obozu hitlerowskiego, to lista wymienia tylko cztery jego pisma. Za to figuruje na niej aż 86 tomów Ludendorfa i jego żony. Jeden z największych fanatyków antysemickich i rasistów, Adolf Bartels, reprezentowany jest 24 książkami; wśród nich znajduje się jego „Historia literatury niemieckiej“ — pozostałe „dzieła“ tego „polityka“ pozostawiono nietknięte. Wśród dzieł Hansa Johsta, który był za Hitlera prezydentem państwowej izby literackiej, nie zakwestionowano aż jedenastu książek o treści niepolitycznej, m. in. jego poezji pacyfistycznych z czasów pierwszej wojny światowej „Weg waerts“ i „Die Stunde der Sterbenden“ (Precz i Godzina umierających). Również, jeżeli chodzi o Ernesta Jungera, którego twórczość stała się obecnie przedmiotem żywej dyskusji, mianowicie obrony ze strony kół reakcyjnych, a potępienia ze strony żywiołów antyfaszystowskich, za zakazane uznano tylko pisma, sławiące wojnę, natomiast w spokoju zostawiono jego tomy eseistyczne i aforystyczne, jak: „Das Abentenerliche Herz“ (Awanturnicze serce), „Blätter und Steine“ (Liście i kamienie) i „Marmorklippen“ (Skały marmurowe). Przykłady te zdają się wskazywać na nową zasadę selekcji, odmienną od metody wielu lokalnych władz, które Johsta i Jungera całkowicie wyeliminowały. W lipskim wykazie nienaruszone pozostały: cały dorobek pisarza Wilhelma von Scholza, Erwina Gwidona Kolbenhayera (wyjąwszy cztery mowy), Waltera von Molo i Hansa Fallady, tych znakomitości okresu hitlerowskiego. Nie umieszczono w nim wreszcie żadnego z tych wszystkich reprezentacyjnych pisarzy, którzy skłaniali się ku narodowemu socjalizmowi w wiekszości swych dzieł, chyba że pisali jakieś broszury i pisma o wybitnie propagandowym charakterze.

Tak więc spośród modnych powieściopisarzy na indeksie znalazł się Rudolf Herzog ze swoją „Historią narodu niemieckiego i jego wodzów“, lecz brak tam jego „mieszcząskich“ powieści, którymi zaczytywała się dawniejsza generacja, Schultze-Naumburg, który nie mógł oprzeć się syrenim głosom hitleryzmu i swoje książki z zakresu historii sztuki po r. 1932 napisał w duchu narodowo-socjalistycznym, obciążony jest pięcioma książkami, Freksa czterema. Na koncie Jakuba Schaffnera znalazły się tylko cztery broszury, na koncie Muschlera trzy pisma propagandowe, Gustawa Frenssena pięć pism, napisanych w latach 1937 do 1944, Bruno Brehma „To był koniec“ (Das war das Ende), Bindinga „Odpowiedź Niemca, skierowana do świata“ (Antwort eines Deutschen an die Welt), Grimma „Naród bez przestrzeni“ (Volk ohne Raum) i pięć innych książek. „Uroczyście mowa na zjazd pisarzy w Weimarze“ jest jedyną wymienioną pozycją Wilhel-

ma Schaefera. Nawet Józef Weinhaber, który w dźwięcznych wersetach opiewał Adolfa Hitlera, oraz przesadny romantyk pierwszej wojny światowej, Walter Flex uznani zostali za znośnych, również jak tłumaczony i u nas przed wojną austriacki pisarz Mirko Jelusich, który w swych historycznych dziełach gloryfikował za sadę wodza „Führerprinzip“.

Jak postąpiono z literaturą historyczno-dokumentaryczną, uznano za „prusko-militarystyczną“ i z tymi dziełami o światowym znaczeniu, które dzisiaj uznane zostały za sygnały narodowego socjalizmu? Otóż ani Fryderyk Wielki, ani Clausenitz, ani Bismarck, ani Moltke, ani nawet Hindenburg nie zostali zakazani, za to, że ich pisma, pojawiły się w wydaniach i opracowaniu narodowych socjalistów. Tę samą zasadę zastosowano do Treitschkego, Nietzschego i Honstona Stuarta Chamberlaina (autora ulubionej książki Adolfa Hitlera „Podstawy XIX wieku“). Tolerancję okazano również wobec Oswalda Spenglera, autora gośnego dzieła „Zmierzch Zachodu“, który wydał także kilka bojowych pism przeciw demokracji, bo zabroniono posiadać tylko jego „Lat rozstrzygających“ (Die Jahre der Entscheidung). Niemniej zapomniano zupełnie o starszych antysemitach, np. o takim wybitnym żydożercy, jak Lagarde lub Eugen Duehring, a z dzieł nieprzejednanego wroga Żydów Arthura Dintera figuruje samotnie „Grzech przeciwko krwi“ (Die Suende wider das Blut). Na indeksie znaleźli się również tendencyjni uczeni, a więc sześć książek ekonomisty Gotta-Ottlilienfelda z uniwersytetu berlińskiego, tyleż książek przedstawiciela berlińskiej pedagogiki, Alfreda Baeumlera, wszystkie pisma byłego rektora uniwersytetu we Frankfurcie n. Menem. Ernesta Krieka, tłumaczonego i u nas, dziesięć książek prawnika Karla Schmidta i szesnaście dzieł niedawno zmarłego Karola Haushoffera, który uprawiał geopolitykę narodowo-socjalistyczną.

Generalnie do usunięcia zakwalifikowano wszystkie książki szkolne od roku 1933 — 1945, plany budowy samolotów itd. Zbiory przepisów służbowych wehrmachtu, czasopisma partyjne niemieckich władz okupacyjnych zostały całkowicie zakazane: poza tym czasopisma fabryczne i frontowe oraz czasopisma ilustrowane w rodzaju „Berliner Illustrierter Zeitung“. Co do innych periodyków, to dopuszczono poszczególne roczniki.

Z autorów zagranicznych na indeksie nie umieszczono Knuta Hamsuna, usuniętego przecież ze wszystkich berlińskich bibliotek. Z dzieł Svena Hedina zakazano tylko dwa pisma propagandowe, jedno broniące Niemiec, drugie atakujące USA. Potępiony został Francuz Louis Ferdinand Celine za książkę „Sprzysiężenie“ żydowskie we Francji“, włoski filozof faszystu Gentile za główne swe dzieło, dziennikarz faszystowski Virgino Gayda za pisma imperialistyczne i oczywiście Mussolini za długi szereg książek (30) wraz z „Rozmową mi z Emilem Ludwigiem“. Zezwala się natomiast na lekturę mło-

dziennego dzieła Mussoliniego, antyklerykalnej powieści pt. „Kochanka kardynała“.

Nawet sami wydawcy nie uważają indeksu lipskiego za wyczerpujący. Zwracają się oni bowiem do bibliotekarzy i księgarzy z przywołaniem, że nie są oni zwolnieni od obowiązku zbadania „szkodliwej tendencji“ również książek nie objętych listą. Charakterystyczna jest dla stanowiska wydawców i ta uwaga — „Zasadniczo na liście tej powinna zostać wyszczególniona literatura, którą w pierwszej linii należy usunąć“. Indeks więc nie daje podstawy do ostatecznego werdyktu.

Powstaje pytanie: co należy wykreślić jako szkodliwe? Gdy się przegląda tysiące tytułów książek, trzeba stwierdzić, że większą część stanowią nazwiska nieznane z wyjątkiem tych, które odgrywały kiedyś rolę w NSDAP.

Piętrzą się tu tysiącami nazwiska, o których żadnego pojęcia nie mieli nawet gruntowni znawcy literatury niemieckiej. Klasę ich intelektu zmiarkować można od razu po samych tylko tytułach ich dzieł: Przestroga dla Niemiec, by się wreszcie obudziły, powtarza się wiele razy. Niejaki F. B. poucza swych ziomków, że Friedrich Ludwig Jahn „był narodowym socjalistą w dawniejszej epoce“. Od niejakiego P. B. dowiedzieć się można że Carl Peters był „wikingiem niemieckiej polityki kolonialnej“. Pewien jego współczesnik oświadcza, że „młodzież przynajmniej się zarówno do Chrystusa jak i do narodowego socjalizmu“. Ktoś inny ujmuje narodowy socjalizm jako „wymarsz narodu ku nowej rzeczywistości, wolności i socjalnej sprawie dliwoci“. W pewnym dziele zaś otrzymujemy wskazówkę, że kultura nordycko-germańska zaczęła się rozwijać od r. 3.000 przed Chrystusem.

W związku z tym pisze wychodzące w strefie amerykańskiej „Neue Zeitung“: „W przeciwieństwie do publicystyki narodowo-socjalistycznej w radio, filmie i prasie — książka hitlerowska nie zdobyła sobie popularności. Fanatyzm i miłość do książek wykluczają się wzajemnie. Miłośnik książek, który przegląda dzisiaj tę nieskończoną listę umarłych (Totenliste), czuje się przeniesionym do gabinetu literackich curiosów, który bardziej w nim śmiech budzi aniżeli przestrasz — jeśli np. dodatkowo dowiaduje się, że niejaki Hans Fabricius w całej książce tytułuje Schillera jako „bojowego towarzysza Hitlera“.

Lipski indeks ważny jest tylko w sowieckiej strefie okupacyjnej.

Pisma niemieckie doniosły, że popyt na indeks lipski, który ukazał się w wydawnictwie centralnym w Berlinie, był bardzo wielki i można go było tylko w części zaspokoić.

Udzielam lekcji gry
fortepianowej
BEDNARSKA 23/49
Leopold Zieliński

etajp

włóclawka
miesięcznik

Maciej Kowalski

Na starszego brata skarga

Zaszczytnym, ale szczególnie odpowiedzialnym zadaniem publicystyki jest osądzać. Sytuacje i procesy społeczne, zbyt jeszcze aktualne i żywe na to, aby stanowiły przedmiot badań socjologa czy historyka, znajdują się w obrębie zainteresowań publicystyki; nie unikną też na ogół jej oceny. Wartość takiej diagnozy jest często, niestety, mizerna w świetle późniejszego sądu historii. A jednak opinia publiczna niejednokrotnie oczekuje głośnej wypowiedzi, zajęcia stanowiska, choćby potem w powszechnej krytycznej dyskusji wyłonić się miały oceny przeciwne. Zazwyczaj chodzi tu o postawienie, sformułowanie problemu niepokojącego i drażliwego.

Rzetelny oględny obiektywizm jest niewątpliwie słusznym zaleceniem w stosunku do każdej, a tymbarziej publicznej wypowiedzi. Niekiedy jednak uciec się trzeba do świadomych jednostronnych, drastycznych sformułowań, do oskarżeń i pamfletów.

Pisząc parę lat temu „O młodszym bracie pamflet“ Stefan Żółkiewski otwarcie uznał się za stronnego. Wyrzucił to już w tytule. Znakomity ten artykuł wywołał silne wrażenie i dał szereg interesujących dyskusyjnych wypowiedzi w „Kuźnicy“ i innych pismach. Dyskusja o młodzieży zatonęła w szerokie kregi, a jej ostrość i żywość pomogła wielu młodym do zdania sobie sprawy ze źródeł i dalszego kierunku ewolucji własnych poglądów oraz ze swej sytuacji w społeczeństwie — a co najważniejsze pomogła do sprecyzowania wytycznych.

Bliska w czasie tamtej, a niemniej doniosła była słynna „dyskusja o inteligencji“. Przewodzona w tonie raczej naukowym, w pracy jej inicjatora, prof. Chałasińskiego znalazła interesujący, wnikliwy epilog.

I tematyka i punkt wyjścia obu tych dyskusji były odmienne. A jednak z obu nasunął się wspólny wniosek: wpływ inteligencji międzywojennej na młodych był szkodliwy. Konsekwencje pewnych postaw tej inteligencji odbiły się na młodych ujemnie, czasem wręcz fatalnie. W związku z odrębnymi zagadnieniami, a także i w tej sprawie zabierając głos wielu „młodszych braci“ dawała wyraz świadomości takiego stanu rzeczy. Ciągłe jeszcze w artykułach i przygodnych wypowiedziach napotykałyśmy wzmianki o „bezwartości tego ekwipunku ideologicznego, który nam nas dotąd wyposażało starsze pokolenie“ o „przepełnieniu nieporozumienia i żalu“.

Stosunek młodych do starszych wyznacza jej konsekwencje oceny dotychczasowego stosunku starych do młodych. Różne własne kompleksy i braki przypisują młodzi wpływom wychowawczym i postępowaniu starszego brata. Zadra niechęci i zawodu tkwi głęboko. Istnieją zapewne nieporozumienia

i nieścisłości w poglądzie, jaki młodszy brat wytworzył sobie o bracie starszym. Niemniej zarzuty są tak poważne, że śmiało możemy je ująć w formę oskarżenia.

Oskarżenie jest stronnicze, ale nie wyklucza obrony przeciwnie prowokuje ją, zachęca do dyskusji o fakcie i wielkości winy, o okolicznościach łagodzących i obciążających, a także o tym czy wywołane owym przestępczym działaniem nie wystąpią dalsze szkody, jak im zapobiec, jak przestrzec.

Rzadko można usłyszeć słowa samoskarżenia. Ci którzy smętnie zawodzą „I cóż nam zostało z tych lat“ myśląc o ich zaletach z perspektywy minionego życia, rzadko dostrzegają że została — w i n a. Ci, którzy konsekwentnie formowali kształt młodego pokolenia nie lubią by wykazywać im istnienie ścisłego związku między wynikiem ich życia, a zawodami i przeskodami w życiu młodych.

W i n a? — powiecie — można ją przypisać ewentualnie tym, którzy świadomie i celowo zajmowali się „obróbką“ niejako, szlifowaniem dojrzewających i wchodzących w życie dla nadania im kształtu psychicznego jak najbardziej odpowiadającego roli narzędzia, instrumentu pomocnego w realizacji własnych interesów i zachcianek. Ale innym? Tym na przykład, którzy wierzyli przeciw święcie w wartość i wielkość młodzieży polskiej jako kontynuatora świętych tradycji i ideałów? Albo tym, którzy zawsze pobłażliwi i życzliwi młodym, cieszyli się wraz z nimi darami szczęśliwej, wolnej młodości?

Czyż można tym wszystkim przypisać winę. Czy można ich posądzać o umyślność, a może o bezumyślność.

Nie pocieszajcie się łatwym ogólnikiem: „Młodzi nie rozumieją starych — tak już jest“.

Ślady winy istnieją. Została pa mięk o stratach i żal. U olbrzymiej większości inteligentnego pokolenia, — dojrzewającego w latach trzydziestych i latach wojny, szkody psychiczne są znaczne, rujnujące. Oskarżenie, którego wiele fragmentów jest już własnością opinii publicznej, kształtuje się dalej, w miarę jak posuwa się śledztwo historii, jak się zwiększa liczba młodych, rozpoczynających samodzielne życie społeczne i zawodowe.

Jest to oskarżenie wobec tych, których obowiązki społeczne obarczyły za stan fizyczny i psychiczny młodzieży dorastającej, za przygotowanie jej do życia. Nie będzie mi na tym miejscu przytaczać argumentów socjologii i pedagogiki. Zresztą takie argumenty nie przemawiają na ogół do starszego brata. Semantyka i empiria, wpływ środowiska i walka klas, to pojęcia które nie pociągają — raczej

budzą lęk. Ale wystarczy chyba stwierdzić, że obowiązki społeczne istnieją, a zatem odpowiedzialność za ich wypełnienie ciąży na każdym kto z tytułu swego udziału w kształtowaniu życia społecznego odpowiedzialności w tej lub innej mierze ponosi.

Stosunek „jak do narzędzia“ wydawał się dla niektórych głęboko uzasadniony. Przekonanie o doniosłej konstruktywnej roli jaką spełniają oni — elita społeczna — w życiu narodu, pozwalało konsekwentnie przyznawać sobie stanowisko kierownicze w życiu społeczeństwa, klasy, rodziny.

Młodzież natomiast winna była spełniać rolę kadr — silnych, zwartych, — gotowych do wypełniania — obojętne: usług czy zadań bojowych z samozaparciem i entuzjazmem.

Odpowiednie wychowanie mogło i musiało dokonać tego, że jakiś krytyczny i myślący udział w społecznym życiu, w podejmowaniu decyzji był nie do pomyślenia; został uznany za zbędny i szkodliwy. Te metody były zresztą wspólne dla wszystkich faszyzujących środowisk w Europie — a hasła dnia: „kadry“, przy całej różnorodności ośrodków ideologii politycznej w Polsce, było dla wielu z nich postulatem naczelnym. Wszędzie uprawiano w swoisty sposób nauczanie o roli i zadaniach „kadr“. Niekiedy można było odnosić wrażenie jakiejś wielce konstruktywnej działalności. Do czasu. Już rozbicie politycznej młodzieży dawało ludziom rozumniejszym wiele do myślenia. Dziś wiemy, że wykorzystywanie okresu młodości dla rozwinięcia określonych bodźców stosownie do zapotrzebowania na ten lub inny rodzaj instrumentu niezbędnego dla gier starszych panów, zabawy w „wojsko“ i w politykę — to zbrodnia.

Ale wówczas, — w życiu publicznym czy rodzinnym wielu po prostu przyzwyczaiło się posługiwać młodzieżą. I z tego punktu widzenia oceniali wartość jednostek czy zespołów, występujących w roli rozmaitych „armii młodych“; z punktu widzenia przydatności w trwających albo planowanych rozgrywkach.

Nie brak tu, jak widać, troski o „młodszy brata“, nie brak wysiłków dla „przygotowanego do życia“.

Osobną rozprawę można by poświęcić opisowi obłądy, pychy i egoizmu — cechujących stosunek starszego „kierującego“ pokolenia do młodych. Pasażer społecznego wehikułu, młodszy brat, służył kierowcy na posyłki, do usuwania przeszkód i nadymania opon — gdy trasa i prowadzenie pojazdu należała tylko do kierowcy.

Inni myśleli sobie zupełnie inaczej. Ot po prostu: „młodzi to za

nas zrobią“. Nie było tu, broń Boże, potępionego przez nas stosunku „jak do narzędzia“, żadnych umyślnych, ani nawet w ogóle przemyślanych metod i sposobów. Zwyczajna indolencja albo apatyczna wygodna „wiara“. Gdzież zatem miejsce na winę.

Jest taki rodzaj przestępstw, które prawo karne nazywa przestępstwami z zaniechania. Polega ono na braku zachowania, niedopełnieniu czynności, które porządek prawny uznaje za obowiązek każdego pod sankcją odpowiedzialności karnej. Ciekawe, że takich obowiązków jest coraz więcej i coraz więcej także tego typu przestępstw.

Wyższy stopień uspołecznienia domaga się nie tylko zakazów. Rosną wymagania społeczeństwa wobec jednostek, rośnie liczba i zakres obowiązków względem drugich. Społeczeństwo grozi już karą tym, którzy nie robią tego co powinni, a nie jedynie tym którzy robią co zakazane.

Zresztą nie tylko społeczeństwo, nie tylko normy kodeksów karnych: „I za to będziecie sądzeni czegocście nie uczynili“.

Czynić odpowiedzialnym los, to bardzo wygodna zasada — choćby dla usprawiedliwienia aktu przestępstwa.

Jeśli uczyniliśmy ekskurs w dziedzinę prawa to tylko dlatego, aby dobitniej wyrazić pogląd o winie drugiej, o przestępczości postawy, która obok tamtej — utylitarnej zadecydowała o zmarnowaniu tyłu „młodszych braci“. Jeśli przyłożyć nie prawną, ale moralną miarę uspołecznienia, to jakże niskim musieliśmy uznać poziom społeczeństwa naszego, by zdjąć z „odpowiedzialnych“ wszelką winę.

Wymaganie rozumnej pieczy i troski o rozwój osobowości młodej jednostki, nowych więzi społecznych nadchodzących z każdym nowym pokoleniem, nieodłączne jest wszakże od obowiązku krytycznego spojrzenia na życie własne, na „swoje“ środowisko i tu właśnie uczciwość szczególnie nie smakuje.

W „listach starego diabła do młodego“ („Znak“ nr 17 str. 247) pisze C. S. Lewis „..... zadanie twoje będzie polegało na tym by spowodować jego (człowieka) pogodzenie się z pewną duchową gnusnością i wywołać w nim stopniowo pewne zadowolenie w niej, tak, że sam siebie będzie przekonywał, iż nie jest znowu tak bardzo źle...“

Zdaje się, że młody diabeł osiągnął dobre rezultaty w wypadku obwinionego tu przez nas starszego pokolenia inteligencji. Tam zasada, że „nie jest znowu tak bardzo źle“, a będzie jeszcze lepiej, bo — tak mi się widzi najwygodniej, cieszyła się szeroką popularnością. Tak i nadzieja na spełnienie własnych życzeń „za sprawą młodzieży“ obdarzonej swoistym geniuszem, predystynowanej do rzeczy wielkich, młodzieży, która podej-

mie z powodzeniem trud osiągnięcia wskazanych przez poprzedników celów. Ci ostatni natomiast poprzestaną po pierwsze na oczekiwaniu triumfalnego pochodu potomków, po drugie przyglądaniu się i po trzecie radowaniu się z sukcesów. Gorzej, kiedy młody kroczył zaczyna w nieprzewidywalnym kierunku. Spada nań wówczas brzemień odpowiedzialności, złorzeczenia i groźby: wyrodek!

I tak to „na was zwrócone nasze oczy“ kończą się łącznie „straceniemi nadziejami“.

Podsycanie w sobie poczucia własnej wartości za pomocą pozyskania sobie młodych dusz „dla wielkiej sprawy“, skrepowanie ich więzami własnego systemu ocen, obarczanie odpowiedzialnością za „dzieło pokoleń“ — musi się źle skończyć dla jednych i drugich, starszych i młodszych.

A to dlatego, że wszystko zaszło się na błędzie i samozakłamanie. Były tam pochlebstwa, były wywody o przodkach i potomkach, krwi i imieniu, diabli wiedzą o czym.

No i młody człowiek nabierał przekonania, że jest nadzieją i w imię tego lub owego osiadał na łąkach.

Nie było przecież żadnej potrzeby pracy nad sobą. Wartość potomków była przesądzona zgodnie z widzimisię ojców. Widziało mu się, że jego potomstwo to geniusze, że złote szable albo i dusze kryształowe. A innemu widziało się, że to zakała i tragedia narodowa. W zależności od tego jak pasowali do „światopoglądu“ i „ideologii“, jaki był ich stosunek do „dzieła życia“ poprzedników.

Kryje się jeszcze w dziejach międzywojennych i wojennych lat trzecia wina starszego pokolenia inteligentnego w stosunku do młodych, to szczególnie, pobłażliwa wyrozumiałość. Ot po prostu powiedzonko: „młodość musi się wyszumieć“ — albo: „cóż chcecie, taki młody chłopak“. To usprawiedliwienie, ba — zachęca do używania młodości w pewien swawolno-buńczuczny sposób. Jakież pociechający motyw przewija się w obrazie „szczęśliwej młodości“ — szczęśliwej bo n i e o d p o w i e d z i a l n e j. Później i tak życie bije po głowie, a przynajmniej po zostanie zadowolenie z beztroskiej młodości — to częste słowa doświadczonego starszego brata. Przynajmniej, wątpliwe to zadowolenie i wątpliwa szczęśliwość.

Powiada Tatarkiewicz, że „szczęście to trwałe, zupełne i u z a s a d n i o n e zadowolenie z życia“.

Podniecające wspomnienia młodości nie są niczym innym jak ucieczką od bieżącego życia, a raczej od trwałego zawodu życiowego, od trwałego, zupełnego i uzasadnionego niezadowolenia.

Nieprzygotowanie do życia społecznego, rodzinnego, do pracy zarobkowej, do uczestnictwa w rozwoju kultury ogólnej, uniemożliwia wprost odczuwanie radości płynących z poczucia wspólnoty, z istniejących społecznych więzi i z codziennej walki o materialne i duchowe treści. I trzeba szukać namiastek, pociechy i ulgi w podniecających używkach, w sentymentalnych wspomnieniach, w skargach na „ludzką złość” i „życiowy pech”.

W młodości już rozwinięta psychika i egoizm niosą gorycz i żal. A przestępna zasada nieodpowiedzialności za życie swoje i innych w atmosferze tej przechodzi z ojca na syna.

Patronujący młodzieży korporackiej filistrowie z upodobaniem spoglądają na dzieciaków, urządzających bzdurne „konkursowe” pijatyki piwskie.

Z pobłażliwą zachęta z dreszczykiem emocji uczestniczą w bezrozkiem rozrywce. Pochlebiali im służyć przykładem, popisując się sukcesami szczęśliwej młodości.

Lepsza część życia to knajpy, bojówki, bohemy i lepsza część życia upływa tam, gdzie panuje zasada nieodpowiedzialności z a c o k o l w i e k.

Rozbawiony młody pasażer stanowi miłą rozrywkę dla podchmieleonego kierowcy, a z trudem skłony wehikuł płacze po ciemku na istotnie wyboistych i stromych ścieżkach. Jakoś tam będzie. Nie trzeba, aby młodszy brat niepokoił się i zniechęcał niebezpiecznym pytaniem: „Dokąd my właściwie jedziemy”.

Od pierwszego sierpnia rozpoczyna się okres najprzykrzejszych wspomnień wojennych. Zastanawiając się nad starszym pokoleniem dopatrywać się można w zachowaniu ludzi dojrzałych, wielu błędów i braków, których sumaryczny obraz wyraża się zarzutem nieodpowiedzialności. Nie pora jeszcze na wystawianie szczegółowego rachunku strat i szkód, ale niech nie mówią obrońcy o przesadzie. Zgodzić się można, że gorycz i żal utrudniają rozumną bezstronną ocenę. Ale nie należy pomawiać o przesadę tych wszystkich, którzy — młodzi wiekiem — zeszarli się odgrywać dramaty, zblazowali się potęgą tragiczności i cynizmu zawartą w codziennym dniu wielu poprzednich lat.

— Ostrożnie z powojennym krytycyzmem — wołają niektórzy zacięci patrioci — „to do niczego nie prowadzi, to rozbraja”. Nie podzielimy waszego poglądu, przyjaciele. Napotkacie w artykułach, poezjach i nowelach waszych braci i synów wiele niespokojnego krytycyzmu i wiele gorzkiego „po co”. Ale obok znajdziecie poważnie podjęte, przemyślane próby konstruktywnego pojmowania życia, świadome wagi głębokich etycznych zasad w programie odbudowy i przebudowy życia społecznego i zmęczonej psychiki jednostek. A w pierwszym rzędzie zasadę odpowiedzialności wobec sumienia i społeczeństwa za życie własne i życie drugich, zasadę obowiązku troski o każdego.

Nienawisć klasowa czy „pokoleniowa” dyktuje słowa potępienia. Może nietaktowny, nieodpowiadający powadze zarzutów styl zrazu i oburzy kogoś. To nie jest ważne. Zbyt wiele nic nie mówiących frazesów wpowiadają się o sprawach

Danuta Zandt

MŁODZIEŻ „PRZEOCZONA”

Wnioski dotychczasowych skąpych dyskusji w prasie na temat młodzieży mogą przyprawić czytelnika o wątpliwości. Zaraz po przeczytaniu kilku pism zawoła: „No dobrze, ale któż to jest ta młodzież? 26-letni drab morduje towarzysza, gazety krzyczą: „młodzież”. Akademy: młodzież. Uczniowie szkół podstawowych: też młodzież...”

Kiedy wreszcie odnajdzie i zastępuje podział na pokolenia np. lat 1930-tych czy 40-tych, tj. na ludzi dojrzewających w tych latach, zdumienie jego wzrośnie. Ta sama wiekiem młodzież w różnych pismach będzie przedstawiała się już to jako „pokolenie” ludzi tragicznych, zdruzgotanych wewnątrz niemniej wyniosłych, już to jako żywe monstrum zaskarżającego upadku moralności i inteligencji.

I zawsze „pokolenie” i zawsze „cała młodzież”.

A przecież pisze się o elicie. Autorzy rozpraw publicystycznych zwykle cechy własnego środowiska bez troski uogólniali na całe pokolenia. Notatki i artykuły w dziennikach roztrząsały sprawy innej swoistej elity — tych, którzy swoimi czynami potrafili poruszyć opinię ogółu. Jest fragmentaryczna prawda w prasowych różnych wnioskach, ale nawet zestawienie tej całej różnorodności nie odda nam pełnego obrazu pokolenia. Pozostaje bardzo liczna grupa młodziży przeoczonych.

Co to za młodzież? I dlaczego przeoczonych?

Pokolenie, w którym ją widzę, stanowią dojrzewający w latach 1940. I tu musimy przeprowadzić pomocniczy, choć schematyczny podział „pokolenia lat 40-tych” na grupy. Ze grupy tej istnieją świadczą zasadniczo różne dziedziny aktywności i odmienność postaw młodych. Rozbieżność tych sylwetek zarysowuje się ostro zwłaszcza w ostatnich dniach wojny a pierwszych nowej rzeczywistości.

Postawa młodego uwarunkowana była środowiskiem i wiekiem. One to decydowały o pracy w konspiracji. Konspiracja — tam, gdzie miała miejsce — rozlamywała ciągłość pokolenia, część jego obejmując i podając przyspieszonemu procesowi dojrzwania, w specyficznym klimacie i na odmiennych pożywkach. Wkład jej był wtedy zasadniczy, jeżeli ogarnął w rozwoju młodzieży okres przełomu światopoglądowego i uczuciowego, określonego w psychologii mianem „drugiej fazy negatywnej”, zaczynającej się średnio od 13 do 15 roku życia. Mogli więc pracować w konspiracji ci, którzy we wrześniu 1939 roku mieli 12, 15 lat. Przekonania konspiracyjne, często jako pierwsze przyjmowane z własnej woli, w okresie przełomu nie podlegały burzeniom, mogły więc stanowić poważną konstrukcję w krystalizującym się światopoglądzie. Umożliwiała potwierdzenie własnej wartości w pracy odpowiedzialnej, tajemniczej, dającej zaspokojenie emocjonalne i częściowo intelektualne.

Widzimy takich u Brandysa w „Mieście niepokonanym”, wzbierających się przed „polityką” — jak określali ideologie społeczne czy światopoglądy — nierozłącznych od dowodów, z nadwrażliwością swojskie pojmovanego honoru, z przesadnym kompleksem służby Ojczyźnie, Narodowi, Sprawie...

Mieszczą się w tej grupie także ci, którzy nie pracowali w konspiracji, ale byli pod silnym oddziaływaniem stylu jej życia. Nie trudno przewidzieć następstwa tej postawy...

rzeczywiście najistotniejszych. A może pod wpływem oburzenia i zniecierpliwienia któryś ze starszych braci przejrzy księgi swojego postępowania, porozmawia z osobami mu bliskimi o szczegółach wątku oskarżenia, podejmie próbę sformułowania „za”, „przeciw”. To ważne nie dla przeszłości ci ani nawet dla przyszłości. Każdoczesne d z i s jest najważniejsze: j a k o e t a p.

Maciej Kowalski

Jeżeli dyskutowano o młodzieży, to przede wszystkim o tej grupie, która długi czas zaprzatała uwagę społeczeństwa. Ja jednak nie o niej będę pisał.

Trudniejsza do określenia jest grupa druga — należą do niej ci, którzy nie mogli brać udziału w konspiracji, ponieważ we wrześniu 1939 roku mieli 9—12 lat.

Ich postawa z końcem wojny? Nieokreślona: pełni wezbranej energii i oczekiwania, w tej samej mierze zasugerowani opiniami otoczenia, co buntujący się przeciw nim. Ta „bezideowość” ma uzasadnienie w czasie wojny, ale o tym napiszę dalej.

Poza konspiracją, powyrzucani ze szkół, często osieroceni przez dom — brak ojców, matki zapracowane, ciężkie warunki materialne — w okupacyjnej, brutalnej, rzeczywistości znaleźli się zdani na własne siły. Rzeczywistość ta przetrwała ich w taki sposób, że „kto miał mało, odebrał mu, a kto miał dużo, dodano”. Zależnie od ich pierwotnego potencjału możliwości okupacja zostawiła albo zahamowane w rozwoju mentalności 10-letniego dziecka, a problematycznie poszerzonej tylko o kwestie fizjologiczne, albo wybujałe, impulsywne ludzi nader dojrzałych i ambitnych.

Dlatego młodzież tej grupy nie jest naprawdę młoda.

Z tych właśnie werbuje się młodzież przeoczona — nie nazwana jeszcze, bo bezideowa, bezpostaciowa. Szczególnie jasrawe sylwetki to młodzież z pogranicza środowisk społecznych — deklasująca się, albo aspirująca — która zerwała z wartościami rodzimego środowiska, a nie wyla się naleźć w drugie.

Charakterystyka ta nie obejmuje na ogół młodych, mających w 1939 r. niżej 8 lat. Ci, być może, są już załamkiem nowego pokolenia — pokolenia lat 50-tych.

Będę więc pisać o tych przeoczonych. O, podam konkretne przykłady, staną nam się bliżsi i bardziej dostępalni.

Typowym był zespół, z którym w 1947 r. zdawałam maturę. W opinii ogółu byliśmy zawsze najgorsi. „Od 50 lat takich nie widziano” — zakliniali się profesorowie i woźni. A nagabywani bliżej dodawali: „Niesolidni, leniwi, aroganccy...” i mnóstwo innych epitetów.

Czy cała wyżej opisana charakterystyka miła się z prawdą, czy jest niepełna, niech świadczą przykłady. Było nas dwadzieścioro. Tak jakoś się składa, że równiutka połowa z nich z własnej inicjatywy nigdy nie zainteresowała się kwestiami społecznymi czy politycznymi. Szereg wywiedów i obserwacji dostarczył mi ścisłych danych: w Boga wierzyło 18; nie było zdecydowanie negatywnego stosunku do Kościoła kat., ale praktykowało tylko 11; na 12 osób, należących do różnych ideologicznie organizacji z przekonania czy świadomości programu, znalazły się w nich 3.

Egzaminy na wyższą uczelnię: samodzielnie wyboru studiów dokonuje 8 osób — za resztę wybór uczynili: okazja, rodzina, okoliczność. Ktoś kiedyś alarmował o zaskarżającym upadku inteligencji. Pytam, jakie pisma najczęściej czytają? Z dzienników „Express”, z tygodników „Przekrój”. 9 osób nie orientuje się w ideologicznym obliczu „Kuznicy” czy „Tygodnika Powszechnego”. 12 wygląda na zaskoczonych pytaniem: „Co cię ostatnio najwięcej interesuje?” i nie daje konkretnych odpowiedzi.

Z tej oto dwudziestki 14 osób studiuje, a dwie rozpoczynają studia w najbliższej przyszłości.

Obserwując postawę tej młodzieży w różnych sytuacjach dochodzę do jednej, smutnej konkluzji: zasadniczą, dominującą cechą jest obojętność bierność, nagminne zahamowanie w pewnych dziedzinach funkcji umysłowych i uczuciowych. W pewnych dziedzinach — bo umysł działa, wchłaniając wiedzę wymagana na egzamin. A funkcje emocjonalne? Przejdźmy na zabawę młodzieżową, sprawdźmy ilość wyłożonego aiko-holu, tej niezbędnej podniety dla odczuwania radości życia (na 20 osób 3 ledwie przekraczające 21 lat życia, pięć ośmiu niż 2 razy na tydzień). Zaobserwujmy charakter zabawy. Dla odmiany pojedźmy do biblioteki i czy-

telni (korzystają z nich aż 2 osoby).

Tak przedstawiają się obserwacje — mu z zewnątrz. A w świadomości ich samych? Pytam, czym tłumaczą swoją postawę? Większość nie dostrzega w niej nic zastanawiającego — uważa ją za najślosowniejszą. Część mówi o załamaniu — niżej podam drogi, które je tu przywiodły. Ostatnie natomiast to często spotykane typy pseudocyników. „My już jesteśmy przeżył” mówią z patosem.

Przecież osiągnięcie takiego etapu psychicznego i to tak masowo (podobną sytuację zaobserwowałam w równoległych klasach), musi być wynikiem jakiegoś procesu.

Ażby stan świadomości młodych tej grupy zrozumieć i odszukać do nich drogę, musimy uświadomić sobie czynniki, które go w okresie dojrzwania kształtowały.

Rozwój duchowy, choćby ten uwarunkowany biologicznie, niepokoił potrzebę rozwiązywania zagadnień, czy tworzenia pojęć.

Kto im pomagał wartościować? Szkoła, komplety, rozbita na gozdziny dorwczego nauczania, czy oficjalne instytucje? Nie.

Kościół? Ten odłam młodzieży wymknął się spod rygoru religijnego. Zbyt słabe były więzy (organizacja, rekolekcje, wspólne msze itp.), zbyt łatwo przyskaki pod wezbraniem przekory i niepokoju intelektualnego. „Niebo w płomieniach”. Czasem uświadomienie sobie stanowiska Kościoła w jakiejś sprawie wystarczyło do zajęcia przeciwnego.

Pozostał dom i najbliższe otoczenie. Wpływ jego był stosunkowo najtrwalszy, ale jakże osłabiony czynnikami zewnętrznymi.

Za to bez żadnych przeszkód otwierał się przed młodymi całokształt zjawisk, znajdujących się poza domem konspiracją i szkołą, a zwany rzeczywistością; ona to miała zaspokoić i wskazać sens życia. Cóż za paradoks — oto w takiej sytuacji wpływ rodziny na młodych spowodował się najczęściej do negacji. Zajęci rodzice w momentach zainteresowania burzyli w dzieciach wpływ owej rzeczywistości, nie znajdując jednak ani czasu, ani należytego ekwipunku, by przeciwstawić mu wkład należyte mocny i pozytywny. Środowisko to nie tylko rodzina. A wiek tej młodzieży nie uodpornił jej przed sugestią, że rzeczywistość wojenna jest normalna — nie dał możliwości porównania z okresem przedwojennym.

Słyszałam kiedyś zirytowanego wychowawcę naszej klasy: „tłumaczę im, mówię — jak grochem o ścianę. Zupełnie jakbym im po chińsku mówił, jakby nie rozumieli”.

A może naprawdę nie rozumieją? (Choć czasem i nie chcą). Bywało i tak, że brakło wspólnego języka...

Zauważmy: młodzi ci światopogląd swój budowali na wnioskach, wysnutych z rzeczywistości anormalnej, którą przyjmowali za normalną. Ktoż z nich, urabiając sobie sądy, a na ich podstawie często i stosunek do ludzi, miał świadomość, że większość osób, z którymi się styka, jest załamana wyjątkowymi okolicznościami? Ktoż z nich, wtedy dzieci, potrafił przeprowadzić jasne rozgraniczenie, że usankcjonowane podczas wojny prawa: nie pracować, pracować powoli, fałszować, przekupować i dawać się przekupować — wolno stosować tylko w takich, a nie innych warunkach? Niby dlaczego? Toteż po wojnie, kiedy się znaleźli w analogicznej sytuacji, z zupełnie czystym sumieniem stosowali zaobserwowane metody ochronne.

Czyż zresztą nie wzorowali się na starszym pokoleniu? A czy ci doświadczeni i apodyktyczni zawsze mieli świadomość, że ich postępowanie nie jest postępowaniem tylko ich, ale dziesiątek młodych, którym nieświadomie dają rozwiązania pewnych sytuacji? Czy ten wzgląd choć raz wstrzymał kogo z oburzonych i potępiających przed niednym kompromisem między przekonaniem a warunkami bytu? A że ta młodzież nie zawsze chciała się przejąć opowiadania o drugiej moralności — na lepsze czasy, czy to wyłącznie jej winą?

Zatruty okres, którego końca dorosli oczekiwali z zapartym tchem, zdołał wykarcić ten odłam młodzie-

ży. Nie wszyscy mają świadomość ukształtowaną w ten sposób — obrazuje ona tych, którzy do dziś nie mogą w swojej postawie dostrzec nic zastanawiającego. Jest postawą zahamowanych w rozwoju.

Z tymi porozumienie jest najtrudniejsze — to już nie spór, ale mianie się, tragiczne mianie się naszych poglądów, kryteriów, pojęć...

Poczynania młodych, dojrzewających w czasie wojny, uwarunkowane były przede wszystkim głodem wrażeń i kompleksem niższości. Zaspakajano je różnie. Nauka — pomimo, że opisywana młodzież była do szkół zapisywana — tylko znikoma część. Niewiele więcej satysfakcją z opowywania warunków materialnych — ryzykownym handlem, przemysłem, ezabrem. Ta sytuacja niejednokrotnie w bardzo silny sposób kształtowała zasadę: „poczucie własnej wartości i satysfakcję z życia czerpię z opowywania warunków egzystencji”.

Pozostała zaś reszta „wyżywała się” dorywczo, przy okazji — sport, danciegi, kabarety... Ci pozostali to najbardziej bezpostaciowi — ludzie, którzy są tylko odbiciem środowiska.

Ale wojna raczej w nielicznych wypadkach wykrystalizowała przekonania — na ogół nagromadziła tylko materiał, pozostając w pewnych urazach czy skłonnościach. Całego zaś procesu wykołowania dokonali ostatnie lata, kiedy to młodzież przekazana została pod czułą opiekę starszego społeczeństwa.

Jak to się stało? Wspomniałam już, że z końcem wojny część młodzieży szuka — w niektórych wypadkach nawet bardzo gorączkowo i entuzjastycznie. Nie jest wykluczone porwanie jakąś ideą nawet obserwujących biernie. Ciekawe są metody poszukiwania — musimy umieć wyciągnąć z nich wnioski. Główną cechą jest pogląd na ideologię przez pryzmat posiępowania ludzi, którzy ją reprezentują (ileż na tym ucierpiał Kościół). Następnie ślepy, żywiołowy pęd do potwierdzenia własnej wartości, do spalania energii w aktywnej pracy, dającej możliwie najefektowniejsze wyniki. Aż wreszcie — wybitna afirmacja przekonania, przyjętych dobrowolnie, a ciągle burzenie narzuconych i powszechnie utartych. Drogi poszukiwania są zresztą indywidualne i bardzo różne. Zatrzymanie się na dzisiejszych pozycjach nie wynikało z braku porwyających ideałów do naśladowania; wypływa ono z tego, że bogato zróżnicowana opinia starszego społeczeństwa zawsze potrafiła podkopać wiarę w ich wartość. „Przeoczeni” z racji swego wieku i niedoświadczenia skazani byli na wartościowanie zasługami, chaotycznymi interpretacjami starszych. Stąd tyle nieporozumień, konfliktów, załamania.

Nie sądzę, by trzeba było uzasadniać wartość tych jednostek dla społeczeństwa. Dlatego nie wolno ich zbryć machnięciem ręki i pochopnie potępić. Czyż w każdym wypadku ponoszą odpowiedzialność? Czy potrosze odpowiedzialny za ten stan nie jest każdy z nas i czy nie może mu choć w drobnej części zapobiec?

Sprawa jest aktualna. Młodzież „przeoczona” wstąpiła już albo w tym roku wstąpi na wyższe uczelnie. Ta zmiana warunków wiąże się z postawą oczekującą i stosunkowo bardziej skłonną do refleksji. Trudno im od razu wskazać prawdę, ale wykorzystując ich postawę można rozbudzić niepokój, zasugerować poszukiwania. Może bezwzględna konsekwencja w stosunku do wyznawanych przekonań przełamie w nich chroniczną niewiarę w wartość idei? Teraz jest ostatni moment, w którym można to dokonać. Nas, „przeoczonych”, uratować może tylko samopoznanie i uświadomienie sobie, jakie warunki zaprowadziły nas na owe boczne ścieżki bez dalszych perspektyw. Uświadomienie sobie motywów działania i wywikłanie się z nich równa się cofnięciu o cały ezmat drogi — aż do momentu decyzji. Wzbytych do urazów może uda się dotrzeć do naszych pierwotnych założeń i stamtąd obiektywniej, krytyczniej ocenić drogi, wiodące w przyszłość.

Danuta Zandt

Anonim Guziński

A S T R E F L

Przeciętny śmiertelnik znalazłszy w swym łóżku nieznaną osobę ma pełne prawo do zdziwienia. W wypadku zastania w tym miejscu większej liczby osób, jest się usprawiedliwionym do głośniejszego nawet wybuchu wyrażającego stan wysokiego zaskoczenia.

Lecz Jan Edward, w szerokim gronie swych przyjaciół zwany po prostu Edziem, słusznie uchodził w tymże gronie za osobę nieprzeciętą. Ujrawszy bowiem na swym najbardziej prywatnym tapczanie, dwie rosłe sylwetki śpiących mężczyzn, wykrztusił tylko — Ooo! — a potem popadł w stan który

chem zapalił przyklepioną do stołu świecę.

Niedyskretny blask światła ukazał — tyle rozczochrane co skonsternowane gęby dwóch młodych ludzi. Zaczynali pojmować wynikię nieporozumienia. W ich milczących spojrzeniach skierowanych na zadeszczone parterowe okno, malowała się taka tragiczna melancholia, że kamień mógłby lże uronić.

— Panowie, widzę, się pomylili. — Zagrzmiął znów Edzio, — Stop! — Nie ma tłumaczeń, każdemu może się zdarzyć. — Tu spojrzął wymownie na niedom-

zawsze tak świeżym i jedynym widokiem, nie miałby nic przeciwko przymusowemu postojowi, gdyby nie to że znajdowali się na trasie wejścia do portu. Unieruchomieni bowiem sztyłem, narażeni byli w każdej chwili na zderzenie z przechodzącymi często statkami.

Adam odrzuciwszy daleko rozżarzoną zapałkę, ciągnął dalej.

— Uważacie więc, przyjęliśmy go zatem, jak rodzzonego brata między siebie. Setny chłop był zresztą. Całą noc starał się jak najmniej nam miejsca zajmować, a rano to jeszcze z solidnym śniadaniem wystąpił. Na odchodnym kluczył mi w rękę wciska i powiada — „że na oknie to on kwiatki różne często trzyma, więc żeby może przez drzwi, bo jeśliby któryś z nas znów był w potrzebie, to prosto jak do swego mieszkania”...

I tu się wyjaśniło, że dzięki tej wesołej pomyłce, uniknęliśmy może poważnego kłopotu. Mieszkający bowiem również na parterze, lecz o trzy okna dalej Kostek, został przed dwoma dniami aresztowany, a jego mieszkanie zażął jakiś łajniak.

Ganił nas potem w różnych sprawach, coś dwa tygodnie po Podkarpaciu.

Wracamy wreszcie całą grupą do R. i znów nieprzyjemny problem. Godzina policyjna minęła dawno. Aby dostać się z meldunkiem na punkt, musieliśmy taszczyć się we trzech przez całe miasto. Giupia sytuacja. I wtedy ta małpa Jacek, rzuca z niewinną miną, „że mam przecież klucz, więc może byśmy tak do Bidy zaszli. To jest przecież na przedmieściu, niedaleko stąd...”

Tłumaczę im cierpliwie, że choć Edward zapraszał „któregoś z nas”, to — to wcale jeszcze nie powód abyśmy się we trzech mu zwałili.

Na to Zygmunt płacząco, bo obtarł sobie nogę i stękał nam już od dwóch godzin, — że może ten nasz Bida nie nocuje dzisiaj w domu, więc jeśli mamy klucz... I patrz! bestie na mnie jakbym miał ich conajmniej topić zaraz.

Trzeba przypadku, że mieszkanie rzeczywiście było puste. Zrzuciwszy z siebie piorunem ubrania, wpakowaliśmy się z rozkoszą pod kołdrę. Prostując zmęczone kości pomyślałem w duchu, że szpilki już między nas by nie wsadził.

Zdrzemnęliśmy się trochę. a tu nagły rumot i klnie ktoś pół głosem.

To Edzio, wróciwszy po ciemku, potknął się na butach któregoś z nas.

Ale jak już mówiłem, chłop był równy, domyślił się więc od razu i nawet światła nie zapalił, siadł na krawędzi tapczana i rozbiera się. Ścierpla mi skóra bo spałem od brzegu, a tu on trąca mię lekko i powiada — Bracia rodacy posuniecie się trochę...

Pomyślałem tylko — Gdzie?! Szczypię więc Zygmunta w plecy, zrobiliśmy wszyscy całkowity wydech i fakt, że się Edward jakoś położył.

Niestety przy pierwszym oddechu gdyby się mnie wpół nie

chwycił, wyleciałby chyba na środek pokoju.

Kopnąłem rozpaczliwie Zygmunta, jęknął tylko, ale ani drgnął. Wtedy Edzio w nagłym podejrzeniu klęknął na tapczanie i maca. Naliczywszy trzy głowy, stęknął jakoś głucho i wstaje.

Na to Jacek, zaczyna mamrotać pośpiesznie. — Ze jeden z nas „właśnie miał już zamiar” i prześpi się chętnie na podłodze i wypycha mię, kolanem, spod kołdry.

Bida sapnął znów tylko i zapaliwszy światło wyciąga z biurka karty.

— Bridge — przeleciało mi przez myśl.

Lecz on, odłożywszy cztery asy, głosem nieco grobowym, zaproponował — As trefli pójdzie spać na podłogę!”

Ja wyciągnąłem asa karo, Zygmunt pika. Spojrzeliśmy z napięciem na Jacka, ten pomyślał chwilę, wreszcie wyciąga... kiera (zawsze miał bestia, szczęście do kobiet) no i Edzio został z treflem w ręku. Głupio nam się trochę zrobiło, a małpa Jacek znów szepcze mi do ucha, że niby śpię od brzegu więc powinienem Bidzie ustąpić miejsca. Lecz Edzio, stwierdziwszy tylko z wisielczym uśmiechem — „Słówko się rzekło kobyła u płotu”... Wziął się do rozkładania pał na podłodze. A potem to próbował nawet jeszcze wice nam opowiadać.

Upewniwszy się, że chłop pogodził się już rzeczywiście z

sie — przeciął mu w pół słowa stojący na „oku” Jerzy.

— Yes, holownik na kursie — przyjął natychmiast meldunek Mietek.

Od morza szedł wprost na nich ciemny szumiący kształt.

— Odślonić nietoperza!

— Yes, odślonić nietoperza — jak echo, powtórzył Jurek.

Na maszcie „Skrzata” błysnęło wyraźniej sygnałowe światło.

Płynący wprost na nich holownik, zboczył nagle z kursu przechodząc obok. Jednocześnie zwisający do tej chwili martwo w fok, załomotał sucho uderzony pierwszymi podmuchami wiatru.

Chłopcy, ożywiając się nagle skoczyli na swoje miejsca. Wiatr już dmuchał na dobre.

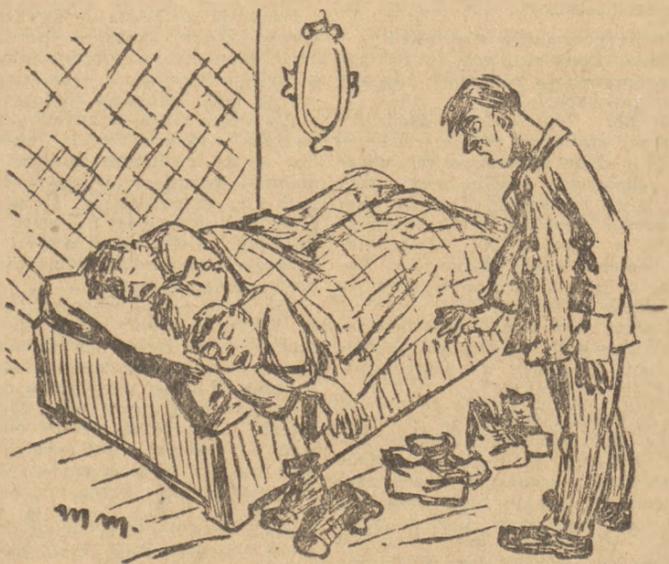
— Wyluzować szoty grota! Uwaga, do zwrotu przez sztak! — Szybkie komendy Mietka zmieniały się w sprawne ruchy żałogi.

Ciężki bom z chrzęstem przeleciał nad pochylonymi głowami. „Skrzat”, nabierając już pędu, ciął bryzgami piany nadbiegające fale. Na równomiernie pomarszczonej jeszcze przed chwilą powierzchni morza, zaczęły tańczyć pierwsze grzywawce.

Wiktor, wybierając szoty, rzucił w stronę Adama.

— Słuchaj! No, a jak się skończy z twoim Edziem?

Ten uśmiechnął się w odpowiedzi, rzucając przez wznoszącą się wiatr. — W dwa dni później spotkałem go na mieście. Zziąjany i spocony dźwigał..



określić by można ostrożnie mianem „inteligentnego zamyslenia”.

Z sytuacji grożącej mu już plagiatem ślubnej małżonki Loty, wyratował go ruch jednego z leżących. Obudzony bowiem hałasem, śpiący z brzegu dryblas uniósł głowę.

Edzio, ostatecznie przekonany o słusznej zasadzie „iż nic pewnego na ziemi”, rozejrzawszy się rozpaczliwie po pograżonym w mroku pokoju, szepcząc z ostatkiem nadziei w głosie.

— Przepraszam, to jest tego... czy panowie są u siebie?

Pytanie sformułowane było nienajszczęśliwiej. Jacek zmierzwił też intruza mało życzliwym spojrzeniem. Po chwili, pomijając ciekawość nieznanego, rzucił tonem lekkiej nagany. — Jeśli pan do Kostka to tu, tylko że jego nie ma w domu.

Po czym uważając, że sprawa została całkowicie wyczerpana, przyciął głowę napowrót do poduszki.

— Paniel! — Głos zgrzytnął jak żab na szkle.

W rodzinie Jana Edwarda nie było nigdy tchórzów, lecz on sam dostrzegłszy ruch Jacka, poczuł się nagle lwem.

— Fanie! — Powtórzył posuwnawszy się odrobine naprzód. Na usprawiedliwienie nader bohaterstwa dodał, że na dworze śniadł zimny paździcznikowy „kapuśniak” a on sam nie widział dostatecznie słusznego powodu, aby przekładać ciepłe posłanie na całonocny spacer na deszczu.

Nad tapczaniem zawisło milczenie...

Edzio, odzyskawszy w końcu zimną krew, zdecydowanym ru-

knęte okno, jakby chciał dodać. — Kto w taki nieco oryginalny sposób się zjawia... — Ale — ciągnął dalej groźnie. — Mam tylko jeden tapczan, ergo — wstrzymał się chwilę sapiąc groźnie. — Musicie się trochę posunąć!...

Po czym nie dawszy im ochłonać z wrażenia, wyciągnął do pierwszego rękę.

— Bida!

— Rzeczywiście — zgodził się skwapliwie Jacek.

— Nie, Jan Edward Bida jestem...

Adam przerwał na chwilę opowiadanie, i oparłszy się wygodniej o burtę, zapalił papierosa. Młdy płomyk zapałki zamigotał przy twarzy, podkreślając cieniem zbyt może kancianste szczęki i mięsisty trochę garbaty nos.

„Skrzat” zatrzymany nagłym sztyłem na wysokości Oliwy, od dwóch godzin szamotał się na miejscu, wstrząsany krótką — „zygliwą” jak ją nazywał Mietek, falą. Rozhuśtane jeszcze morze objając się ostrymi uderzeniami o burty dryfowało lekko jacht ku lądowi. Zaznaczał się on, na ciemnym horyzoncie, daleką linią migoczących światła. Luźne płachty żagli zawisły nieruchomo.

Pięcioosobowa załoga, rozsiadłszy się przed messą, opowiadaniem wesołych przeżyć starała się zabić przedłużające się oczekiwanie na wiatr.

Noc była wyjątkowo pogodna. Snop księżycowej poświaty, załamując się na falach, tworzył długą rozkolysaną ścieżkę. Morze w swym sfałdowanym, aksamitnym granacie, miało tyle uroku, iż nikt z załogi, oczarowany niby tym samym, lecz



losem zaczynam pianissimo — „że właściwie to ja pasjami lubię spać na równym” i nawet jedną nogę wysadziłem już z pod kołdry. Ale Edzio machnął tylko ręką.

Poradziliśmy mu więc życzliwie, żeby sobie krzeselka zestaWił, bo to od podłogi ciągnie i łatwo można dostać kataru...

— Uwaga! Holownik na kur-

łóżko połowe. Jak mnie zobaczył stropił się biedak i chciał coś tłumaczyć, ale w końcu machnął tylko ręką i powiada — „Widzisz, psiakrew, ale już taki jestem, że wyspać się spokojnie lubię...”

Daleko, na krawędzi morza zaszarzały pierwsze brzaski, budził się nowy dzień.

Polanica, dnia 14.IV.1949.

Popierajcie
Katolicki Uniwersytet
Lubelski

Stanisław Podlewski

TUTAJ DECYDOWAŁY SIĘ LOSY POWSTANIA

Po kilku dniach walki w stolicy stało się jasne, że los powstania będzie przesądzony o ile nie przyjdzie szybka i skuteczna pomoc.

Do tego przekonania doszła Komenda Główna AK dopiero po dwóch tygodniach walk.

Wydawało się, że liczne oddziały armii podziemnej, rozsiane po całym kraju, nadsięgną szybko z odsieczą. W dniu 14 sierpnia radiostacja powstańcza nadała rozkaz dowódcy Armii Krajowej:

„Walka w Warszawie przeciąga się, prowadzona jest przeciw wielkiej przewadze nieprzyjaciela.

Położenie wymaga niezwłocznego marszu na pomoc stolicy. Nakazuje skierować natychmiast najbardziej pospiesznymi marszami wszystkie rozporządzalne, dobrze uzbrojone jednostki, z zadaniem bicia sił nieprzyjaciela, znajdującego się na peryferiach i przedmieściach Warszawy i wyroczenia do walki wewnątrz miasta.”

Rozkaz ów powinien być rozesłany jako „ściśle tajny”, przez specjalnych łączników — tymczasem został podany przez powstańczą radiostację do publicznej wiadomości (dla pokrępienia sensu), był publikowany w prasie powstańczej i wielokrotnie powtarzany przez BBC.

Oczywiście nie mógł ująć uwagi nieprzyjaciela. Wzbudził jego czujność.

Nieprzyjaciel zgromadził pancerne i zmotoryzowane kolumny, gotowe do natychmiastowego wyruszenia na wszystkie szlaki wiodące ku stolicy.

Toteż nieomal wszystkie oddziały powstańcze zdążające ku stolicy zostały rozgromione na wiele kilometrów od miasta.

Silne zgrupowanie oddziałów leśnych, dobrze uzbrojonych, znajdowało się w puszczy kampańskiej.

Po uciążliwych walkach udało im się przedrzeć do miasta.

PIERWSZE NATARCIE
ODDZIAŁÓW LEŚNYCH

Oddziały leśne z Puszczy Kampańskiej są już na Żoliborzu; liczą one ponad 750 ludzi, dobrze uzbrojonych i zaopatrzonych (dwa bataliony piechoty i kompania karabinów maszynowych).

Major Okoń (Alfons Kotowski) obemtuje nad nimi dowództwo i decyduje w nocy z 20 na 21 sierpnia uderzyć poprzez tory kolejowe obok Dworca Gdańskiego w kierunku Muranowa, Stawek i Starego Miasta.

Przed północą oddziały leśne zajmują punkty wyjściowe na wyznaczonych odcinkach w domach i willech na południowym krańcu Żoliborza.

Batalion leśny porucznika Witolda przychodzi z ulicy Suzina do „Poniałówek”.

Dowódcy kompanii i plutonów idą zaznajomić się z terenem, lecz rozpoznanie niewiele może dać. Liczne betonowe bunkry i gniazda broni maszynowych i granatników są świetnie zamaskowane. Bronią one Dworca Gdańskiego po bydwóch stronach torów kolejowych. Znajdują się przy nasypie wiaduktu, na wprost ulicy Felińskiego. Liczne zasieki drutu kolczastego ciągną się wzdłuż torów. Nie udaje się ustalić większości stanowisk broni maszynowej i rozmieszczenia granatników.

Chłopcy dojrza je w czasie akcji. Pociąg pancerny stanowi największe niebezpieczeństwo — toteż porucznik Student (Antoni Jaroszewski), z saperami będzie posuwał się przy czolowych oddziałach, dotrże do torów kolejowych i wysadzi je. W ten sposób ubezpieczy natarcie oddziałów.

Około trzystu metrów dziel powstańców od bunkrów przy torach. Rozlegają się głosy rozkazów. Powstańcze karabiny maszynowe otwierają ogień — bez skutku.

Kompania porucznika Jaskólskiego dobiega do torów. W ciszy rozlega się głos z bunkra:

— Stój. Kto idiota?

— Czort popa niesiot — odpowiada z humorem jeden z chłopców, po czym rozlega się eksplozja kilkunastu granatów powstańczych.

Ukraińcy zostają wybijci w mgieniu oka. Chłopcy zdobywają bunkier, a w nim karabin maszynowy z amunicją i skrzyżki granatów.

Nieprzyjaciel koncentruje ogień artylerii i moździerzy na małej przestrzeni. Liczne działa strzelają z Burakowa, Cytadeli, z Gór Szwedzkich. Pociąg pancerny podejżdża, grzmi szybkostrzelnymi działami i terkoce karabinami maszynowymi. Artyleria prowadzi ogień płaski, bardzo skuteczny.

Porucznik Jaskólski, zgodnie z rozkazem, chce wystrzelić rakietę na znak, że osiągnął ze swoimi ludźmi tory żeby odwód ruszył do natarcia. Szuka wokół siebie obserwatora, lecz pocisk już rozerwał go na strzępy. Posyła więc do majora Okonia po kolei trzech gońców z meldunkiem, lecz żaden z nich nie dociera.

Natarcie oddziałów leśnych ugrzęzło na całej linii. Pociski nieprzyjacielskie ryją gęsto wokół głębokie lejce i czynią ogromne wyrwy w szeregach powstańczych. Nadmiar granatników powstańczych, obsługiwane przez niewyszkoloną załogę, kropią — do swoich.

W pewnej chwili podporucznik Lot nie dostrzega porucznika Jaskólskiego. Widział go, jak ze swoją żoną, sanitariuszką Jolantą (Izabela, z domu Olszewska), leżeli przy bunkrze, teraz widnieje tam tylko wielka wyrwa świeżej ziemi. Jednak nie zginęli. Podporucznik widzi ich żywych i całych.

Ale wokół ciała zabitych chłopców i dziewcząt zacieśniają się. Podporucznik Korab (Antoni Piątkowski) i podchorąży Kozak, śmiertelnie ranni, wzywają pomocy. Jakis chłopiec ma urwane nogi, nie może wymówić słowa, rękami daje rozpaczliwe znaki.

Obsługa dwóch naszych karabinów maszynowych leży martwa. Tylko sierżant Lion (Jerzy Rumianek), okrwawiony, ostrzeliwuje się zawzięcie, biorąc amunicję od poległych towarzyszy.

Dłużej nie da się tutaj utrzymać. Jaskólski daje rozkaz do odwrotu. Na sąsiednich odcinkach dzieje się podobnie.

Trzeba znieść rannych. Chłopcy są tak zdezorientowani, że rozkazy nie odnozą skutku. Jaskólski oddaje pistolet maszynowy swojej żonie i wraz z podporucznikiem Lotem, podchorążym Leliwą i kapralem Kieźpolskim znoszą rannych; obracają cztery razy.

Wielu rannych wlece się o własnych siłach, spotykają podchorążych: Chobalka i Kruka (Tadeusz Kętrzyński).

W pewnej chwili Jaskólski dostrzega majora Okonia przy kamienicy.

— Gdzie nasz odwód? — zapytuje majora.

— Mieliście dać znać rakietą — odpowiada tamten.

Skrwawione oddziały leśne ściągają do „Poniałówek”. W szeregach nastój głębokiej depresji i przygnębienia.

Jaskólski poprowadził do tego szalonego natarcia 120 ludzi, a teraz może doliczyć się tylko 25. Podobnie i w innych oddziałach.

PONOWNE NATARCIE

Rano podpułkownik Żywiciel przesyła meldunek pułkownikowi Wachnowskiemu na Starówce o nieudanej próbie przebijcia, o wielkich stratach w ludziach z oddziałów leśnych, o dużym zużyciu amunicji i o wielkiej przewadze ogniowej nieprzyjaciela. Zapytuje, co ma dalej zrobić?

Pułkownik Wachnowski decyduje się na powtórzenie natarcia. Zwana uwagę na jednoczesne zaangażowanie nieprzyjaciela w walce z dwóch stron. W tym celu oddziały powstańcze rozpoczynają uderzenie od strony Starówki.

Dla wzmocnienia oddziałów leśnych przesła kamafami silny oddział szturmowy pod dowództwem kapitana Trzaski (Eugeniusz Konopacki).

Należy tu powiedzieć, że dowódca Armii Krajowej zaakceptował decyzję ponownego natarcia, przywiązywał do tego wielką wagę. W tym celu generał Grzegorz wraz z dwoma oficerami Komendy Głównej przejdą kanałami na Żoliborz, aby kierować całą akcją.

Teraz podpułkownik Żywiciel przystępuje do zmontowania nowego natarcia. Ma zaledwie kilkanaście godzin czasu.

Oddziały leśne, tak mocno skrwawione, zostają wzmożone przez kompanię dywersyjną porucznika Zniwianza.

Zaraz po przybyciu, generał Grzegorz zarządza odprawę bojową w kwatrze podpułkownika Żywiciela.

Ustalono skład i rozlokowanie oddziałów biorących udział w natarciu.

Kompania porucznika Zniwianza, w sile 90 ludzi, pod osłoną 2 karabinów maszynowych i Piata ze zgrupowania „Żaglowiec”, zajmie pozycję wyjściową przy ulicy Zajęzka między ulicami Mickiewicza i Felińskiego i uderzy w kierunku Dworca Gdańskiego. Będzie to lewe skrzydło.

Główne zadanie przypadnie dwóm batalionom „chłopców z lasu”, dobrze uzbrojonym i zaopatrzonym, w sile 620 ludzi, pod dowództwem majora Okonia.

Pierwszy batalion porucznika Witolda zajmie stanowisko w środku, uderzy w kierunku Muranowa, zaś batalion kapitana Mściława, znajdujący się na prawym skrzydle, zostanie skierowany w czasie natarcia na Stawki.

Kompania porucznika Zawieł, w sile 100 ludzi, ubezpieczy batalion od strony Instytutu Chemicznego.

Równocześnie oddziały szturmowe ze zgrupowania: „Żyrafa” i „Zbik” uderzą z rejonu klasztoru SS. Zmarłychwstanek na baterie artylerii, aby zaangażować je w walce i przez to osłabić ogień na terenie natarcia.

Zgrupowanie „Żaglowiec” będzie szachować ogniem Niemców w cytadeli.

Bez odwrócenia ognia licznych baterii artylerii, mających stanowiska wokół Żoliborza, bez unieszkodliwienia pociągu pancernego, bez wsparcia ogniowego i unieszkodliwienia licznych bunkrów i gniazd broni maszynowej byłoby prostym szaleństwem rozpoczynać nowe natarcie.

Na kilka godzin przed natarciem kapitan Trzaska zjawia się w kwatrze podpułkownika Żywiciela. Melduje mu, że przeprowadził kanałami ze Starówki grupę około 250 powstańców ze wszystkich nieomal zgrupowań staromiejskich, zaprawionych w walce.

Z rozkazu pułkownika Wachnowskiego ma przemieszczać tych najlepszych żołnierzy z „chłopcami z lasu” i razem z nimi uderzyć.

Jednak pułkownik Wachnowski nie wziął dostatecznie pod uwagę, że po kilkugodzinnym marszu kanałami ludzie wychodzą tak zmęczeni i unurzani w błocie, że muszą pewien czas odpocząć. Nie sposób, aby Trzaska mógł w dwie godziny zreorganizować oddziały i przeprowadzić rozpoznanie terenu.

Do tego przeświadczenia doszedł podpułkownik Żywiciel, gdyż oświadczył kapitanowi Trzascie, ku jego największemu zdziwieniu, że jego oddział nie weźmie udziału w natarciu, gdyż siły Żoliborza są zupełnie wystarczające (!).

Wobec tego Trzaska wydaje rozkaz swoim plutonom, aby udali się na spoczynek na kwatery, wskazane przez komendanta placu. Sam zaś udaje się z podpułkownikiem Żywiciem na punkt w gmachu „Poniałówek”, skąd będzie mógł obserwować przebieg drugiego natarcia oddziałów leśnych.

Moment zaskoczenia ma decydujące znaczenie w tej akcji. Żadnych sygnałów. Dowódcy mają nastawione zegarki — w ciszy dadzą rozkaz do natarcia swoim oddziałom.

Około godziny drugiej ogień nieprzyjacielski wyraźnie osłabł.

Padają ciche rozkazy. Liczne grupy wypadają z najbliższych wille i domów, rozrzucają się w tyralieri i biegną jak najszybciej przez zagony ogródków działkowych i spalone drewniane baraki kolejowe, ku torom. Zabrakło jednak koordynacji.

Gdy jedne drużyny i plutony zdążyły przebiec połowę pola, inne wyruszały dopiero z pozycji wyjściowych.

Niektóre grupy w biegu gubią się, a cała kompania sochaczewska traci w ciemnościach główny kierunek natarcia. Podporucznik Zawieja zamiast przejść obok, dociera ze swoim plutonem poprzez tory do Instytutu Chemicznego, obeszadzonego przez Niemców. Wywalają granatami brame, wdzierają się na podwórze i wówczas dopiero orientują się, że zmylili kierunek, że są sami, a natarcie trwa.

Esesmani usadowieni w licznych bunkrach, w oknach, na balkonach i na dachach ostrzeliwiają ich gwałtownie z pistoletów maszynowych, rzucają z różnych stron granaty.

Pollacy giną. Brzęk tłuczonych szyb, wybuchy granatów, krzyki i nawoływania rozlegają się ze wszystkich stron.

Liczne wagony, drewniane baraki, nagromadzone drzewo i materiały palne zajęły się od pociągów. Pożar rozszerza się z niesłychaną gwałtownością. Widno jak w dzień.

W blaskach płomieni i w kłębach dymu wycofują się powstańcy spieszenie, unosząc ze sobą rannych.

Od strony klasztoru SS. Zmarłychwstanek jakaś grupa powstańców próbuje ponownie opanować budynek uderzając z dwóch stron. Wspomaga ich jakiś pluton — lecz akcja już i tak jest skazana na zagładę.

Gdy pierwsi powstańcy osiągnęli tory, Niemcy wystrzelili akurat białą rakietę i dostrzegli w jej świetle powstańca tyralierę. Od razu setki rakiet wystrzelilo z różnych stron i oświetliło teren.

Wszystkie bunkry i gniazda huczą od wystrzałów, wytryskują ogniście pióropusze amunicji świetlnej. Niemcy strzelają z ukrycia.

Coraz to jakaś grupka powstańców poderwie się do szaleńczego skoku, ale po chwili zostaje przygwożdżona do ziemi, nie może ruszyć ani do przodu, ani do tyłu. Trudno podnieść głowę.

Nieprzyjaciel strzela ekrazytowa smugową amunicją, ogień cekaemów tworzy niejako siatkę rozwieszoną tuż nad ziemię; pociski rozrywają się na krzakach i chwastach ogródków działkowych.

Podobna walka rozgorzała już na innych odcinkach. Oddział Żyrafa II uderza na baterie artylerii na Burakowie.

Niemcy przyjęli ich salwą kilkunastu dział. Chwilami wydaje się, że nikt nie wyjdzie żywy. Kapitan Stawomir wpada na szalony pomysł, podciąga swoich ludzi pod same nieprzyjacielskie stanowiska, zwołują się na odległość, gdzie ogień artylerii już nie razi. Pod taką zaporą, odcinającą im odwrót, leżą dwie godziny.

Gdy baterie zmieniają ogień, Stawomir daje rozkaz do wycofania się.

Teraz Niemcy wystrzelują z dworca czerwone rakietę ku stanowiskom powstańczym. Po chwili kilka baterii artylerii i moździerzy rozpoczyna gwałtownie ostrzeliwać całą przedpole i stanowiska wyjściowe, gdzie zgrupowany jest odwód. Ciężkie karabiny maszynowe terkoce za jedle długimi seriami. Kanonada jest tak wściekła, a huk tak wielki i nieprzerwany, że do leżącego obok towarzysza trzeba gołośno krzyczeć, aby mógł usłyszeć poszczególne słowa.

Powstańcze karabiny strzelają rozpaczliwie, lecz coraz to którzyś z nich milkną, obeszadzone ogniem nieprzyjaciela. Dwóch chłopców celowniczych, jeden po drugim ginie na stanowisku przy elkaemie w plutonie 226 Zniwianza. Wkrótce trzeci chłopiec zostaje ranny, zaś elkaem ma odstrzelone nożki i potrzaskany bęben z nabojami.

Siła nieprzyjacielskiego ognia wzma ga się z każdą chwilą. Od strony Wisły nadsiężdża pociąg pancerny i zaczyna ostrzeliwać domy i wille, skąd powstańcy wyruszyli do walki.

Żołnierze ponad godzinę leżą przygwożdżeni do ziemi. Pociski czynią ogromne wyrwy wśród nich.

I NA NIC SIĘ ZDAŁA CAŁA AKCJA

Naraz silna kanonada karabinowa odezwała się za torami kolejowymi po stronie Starówki.

Teraz nieprzyjaciel skierował w tamtą stronę ogień artylerii, granatników, karabinów maszynowych i dział pociągu pancernego.

Dopiero teraz oddziały ze Starówki uderzyły z ulicy Konwikłtorskiej na fort Traugutta.

W tej spóźnionej akcji brały udział dwie kompanie z batalionu „Zośka”, pierwsza pod dowództwem sierżanta-podchorążego Kmity (Kozłowski) i druga pod dowództwem podporucznika Giewonta (Miroslaw Cieplak). Obok nich szła kompania Armii Ludowej, dowodzona przez kapitana Hiszpana. Wszystkie te oddziały wyruszyły z ruin szpitala Jana Bożego.

Równocześnie dwie kompanie z batalionu „Czata”, pod dowództwem porucznika Motyla wyruszyły z zabudowań „Fiata” przy ulicy Zakroczymskiej. Oddziały powstańcze były dość silne. Ledwie chłopcy wydostali się na otwarty teren boiska „Polonii”, dostali się w ostry krzyżowy ogień z fortu Traugutta i z Cytadeli.

Kompanie „Czaty” doszły do muru otaczającego fort Traugutta, gdy nagle dostają ogień bocny z Fortu Legionów i bunkrów w parku.

Minął świt. Zorientowano się, że przebiec oddziałów leśnych nie udało się, a nieprzyjaciel skierował na nich cały ogień.

Wobec tego dowódcy prowadzą swoje oddziały na kwatery, zabierając zabitych i rannych.

Największe straty poniosła kompania sierżanta-podchorążego Kmity, bo 16 poległych*) i znacznie więcej rannych; u Giewonta było dwóch oficerów zabitych: podporucznik Howerla (Stanisław Kozicki), dowódca plutonu i podporucznik Mnich (Jerzy Wypych).

*) Na boisku „Polonii” zginęli z kompanii „Maciek” kapral Kędziński (Henryk Kowalski), kapral Tulipan (Stanisław Kacprzak), powstańcy: Cygan (Edward Salassa), Turo (Zygmunt Jakubczyk), Miot (Tadeusz Zbrzeński), Grom (Jerzy Bartoszewski), Grom (Tomasik). W ruinach getta: plut.-podchorąży Czarny (Stanisław Sadkowski), kapral Virtus (Borlesław Matulewicz), powstaniec Cyklop (Jerzy Margolli).

wnętrze
i wystawa



WARSZAWA.

PL. GRZYBOWSKI 2

I drugie natarcie oddziałów leśnych załamało się krwawo. Łańcuch, oddzielający staromiejską dzielnicę, nie został skruszony. Polowa ludzi nie wróciła na stanowiska.

Dwóch dowódców kompanii zginęło z samego oddziału ziemi sochaczewskiej: podporucznik Sęk (Marian Wdowiak), porucznik Janusz, a porucznik Mar padł śmiertelnie ranny. Zgrupowanie „Zwiartar” miało 10 zabitych i tyluż rannych. Między innymi został ciężko ranny podporucznik Szajer. Z oddziałów leśnych zginęli: podporucznik War (Karol Hartfiel).

Porucznik Dan ze swoimi chłopcami podchodzi pod bunkier gwałtownie ostrzeliwujący się, niszczą granatami jego załogę i na chwilę zajmują go. W czasie walki Dan pada zabity, a jego chłopcom: kapralowi Wiarowi (Tadeusz Zaleski), starszym strzelcom Jeremiu (Edward Błaszczak) i Wyrwie (Leszek Estal) udaje się szczęśliwie przedostać przez tory kolejowe. Kierują się ku boisku sportowemu i ruinom szpitala Jana Bożego, lecz wszyscy padają przed barykadami powstańców.

Podporucznik Dan należał do najdzielniejszych żołnierzy wolności, uciekł z oflagu, dostał się do oddziału partyzanckiego na Wileńszczyźnie, doszedł z nim do Puszczy Kampinoskiej, a gdy szedł na odsiecz stolicy zginął śmiercią żołnierza.

Innym grupkom powstańczym udaje się również przebiec tory i zapaść w ruiny remizy tramwajowej na Muranowie. Niemcy koncentrują na te ruiny ogień i wszyscy dzielni chłopcy znajdują w nich śmierć.

Kapitan Mściśław z kilkunastu ludźmi przedostaje się przez tory i kieruje się ku Stawkom. W drodze coraz to któryś z jego chłopców pada zabity. Kapitan otrzymał kilkanaście lekkich ran, w końcu pozostał tylko z jednym chłopcem.

Ukrywa się w ruinach getta przez dzień, a w nocy przekrada się przez Powązki do Puszczy Kampinoskiej i melduje u kapitana Szymona.

„Żołnierz leśny” — pisze porucznik Agaton w swoim świetnym wspomnieniu — drogo zapłacił tym razem za bilet wstępu na warszawską tragedię. Wielu z tych chłopców widziało Warszawę z bliska po raz pierwszy i mogło oglądać ją tylko bardzo krótko.

Ale niejedni z nich mogli mieć zachwyt w gasnących oczach, gdy wśród wazek pocisków smugowych, w migotliwym świetle różnobarwnych rakiet przywarł ostatnim spojrzeniem do sylwetki Warszawy, prześwietlonej łuną pożarów. Szedł do niej setki kilometrów, a zabrakło mu tych ostatnich czterystu metrów”.

TU ROZSTRZYGAŁY SIĘ LOSY POWSTANIA

Obydwa natarcia oddziałów powstańczych i leśnych na dworzec Gdański i tory kolei obwodowej były epilogiem akcji, mającej na celu sprowadzenie oddziałów leśnych z puszczy kampinoskiej do rozstrzygającego boju o stolicę i łączy się ze znanym rozkazem Dowódcy Armii Krajowej, nakazującym koncentryczny marsz oddziałom na odsiecz stolicy.

Organizowanie przebiecia oddziałów leśnych z puszczy kampinoskiej do stolicy było prowadzone przez Komendę Główną AK bardzo nieudolnie i niezdecydowanie.

Do zadania tego zostają wyznaczeni oficerowie osobiście dzielni, ale bez inwencji, bez zmysłu przewidywania, nie umiejący narzucić swojej woli i nie grzeszący zbytnią inteligencją.

Zachowanie się dowódców oddziałów w puszczy kampinoskiej, w obliczu śmiertelnych zmagania stolicy zasługują na najostrejsze słowa potępienia. Nie umieją się oni zdobyć na poskromienie ambicji, (za wyjątkiem kapitana Szymona). Przez długi czas toczą między sobą walkę o objęcie dowództwa nad wszystkimi oddziałami w puszczy; sabotują rozkaz Komendy Głównej, nakazujący marsz na odsiecz stolicy.

Chaos powiększają sprzeczne i spóźnione rozkazy: pułkownika Montera, podporucznika Romana i pułkownika Wachnowskiego.

Przyczynę chaosu można łatwo ustalić. Pułkownik Monter, komendant warszawskiego okręgu, wysłał pułkownika Wachnowskiego, z zadaniem, aby utworzył grupę Północ, a gdy

ten przybył na Starówkę Komenda Główna AK podporządkowała go swoim rozkazom.

Odtąd Komenda Główna i pułkownik Monter wydają jednocześnie rozkazy pułkownikowi Wachnowskiemu. Stąd rodzą się najdziwniejsze sprzeczności. Wady organizacji terenowej pogłębiają je jeszcze bardziej.

Część puszczy Kampinoskiej podlega pułkownikowi Wachnowskiemu, a druga część podporucznikowi Romanowi, dowódcy podokręgu Hajduki — Hallerowo.

Podpułkownik Wiktor, czy major Okoń nie umieją się zdobyć na energię i zdecydowane działanie.

Kiedy w końcu udało się zorganizować wymarsz oddziałów z puszczy sytuacja bojowa na Starówce tak bardzo się zmieniła, że oddziały nie mogły już przejść przez Powązki i ruiny ghettia stołecznego i musiały skierować się na Żoliborz.

Nieomal na każdym kroku spotyka się wybitną nieudolność wyższych dowódców AK.

Podpułkownik Wiktor, czy major Serb nie są zdolni przeprowadzić oddziałów leśnych z puszczy Kampinoskiej do stolicy, choć trasa marszu wynosi przez teren otwarty około 15 kilometrów i jest słabo patrolowana przez nieprzyjaciela, unikającego walki w nocy.

Gubią po prostu swoje oddziały w ciemnościach. Część oddziałów odrywa się od kolumny i maszeruje na własną rękę, lub powraca do puszczy.

W końcu oddziałom leśnym, znajdującym się na Żoliborzu, pozostała droga przebiecia przez tory kolei obwodowej, oddzielającej Żoliborz od Starówki.

Nasze dowództwo wybiera mały odcinek, ale najmniej odpowiedni, między wiaduktem Żoliborskim, dworcem Gdańskim a Instytutem Chemicznym. Jest on najsilniej umocniony i tworzy niejako system obronny: dworzec Kolejowy, fort Traugutta, Cytańdela — Instytut Chemiczny.

Warto wiedzieć, że ten odcinek od brzegów Wisły do Powązek, wzdłuż torów kolei obwodowej, był obsadzony przez trzy bataliony 608 regimentu piechoty, batalion grenadierów Bethin, trzy bataliony pod dowództwem Burharda, trzy kompanie regimentu Asserbeidzan, pociąg pancerny nr 7, pod dowództwem hauptmanna Edona, uzbrojony w 6 dział 15 cm i 18 cekaemów.

Nad całością sprawował dowództwo pułkownik Schmidt, oficer bojowy i zdecydowany.

Dowództwo niemieckie, spodziewając się uderzenia powstańców i doceniając powagę sytuacji, wzmacnia jego siły w dniu 18 sierpnia batalionem pionierów pancernych.

Pierwsze natarcie oddziałów leśnych miało najwięcej szans powodzenia, lecz było prowadzone po Kmicicowemu, na hurra, bez rozpoznania terenu, stanowisk broni maszynowej nieprzyjaciela i bez przygotowania ogniowego.

Gdy w przeddzień w ręce powstańców dostaje się feldfebel z 608 regimentu piechoty, nasi oficerowie z II oddziału wypytują go co oznaczają rakiety zielone, czerwone, jaka jest sytuacja na froncie Wschodnim, jakie straty mają Niemcy, ale nie starają się ustalić rzeczy najistotniejszej i najważniejszej, to jest stanowisk i siły ognia broni maszynowej, położenia bunkrów.

Po nieudaniu się pierwszego natarcia pułkownik Wachnowski wydaje rozkaz ponownego natarcia na tym samym odcinku. Jak z tego widać, stara się wypełnić rozkaz pułkownika Montera, rozkaz połączenia sił Żoliborza i puszczy Kampinoskiej z oddziałami Starówki. Widzi w tym jedyny ratunek. Otrzymuje zgodę dowódcy AK, który jednak chce dla większej pewności powierzyć dowództwo oficerowi z Komendy Głównej AK.

Wyznacza podporucznika dyplomowanego Hellera (Iranek Osmacki). W rezultacie, jak już wiemy, poszedł generał Grzegorz, dobrawszy sobie dwóch oficerów sztabowych: Cozasa i Jolkera, zachowując ściśle incognito.

Nazajutrz przeszedł kanałami na Żoliborz.

W międzyczasie podporucznik Zywicki przygotował natarcie.

Tuż po przybyciu generał Grzegorz zarządza odprawę bojową, ale nie

sprawdza planu ponownego natarcia, ani nie omawia wyników rozpoznania, lecz wyznacza majora Okonia na dowódcę natarcia.

Spodziewać by się należało, że natarcie poprowadzi podpułkownik Zywicki.

Major Okoń chce zaskoczyć nieprzyjaciela, choć mu się to już raz nie udało i było pewne, że nieprzyjaciel jest bardzo czujny, przez całą noc oświetla dokładnie cały teren i prowadzi silny ogień zaporowy.

Nie ulega wątpliwości, że czuje się niepewnie na długiej wąskiej „grobli”, jaką stanowią tory kolejowe między dwoma kołkami powstańczymi.

Oczywiście zaskoczenie majorowi Okoniowi się nie udało.

Akcja przebiecia się powstańców na Starówkę, a nawet skruszenia oddzielającej zapory miała duże szanse powodzenia.

Powstańcy są dobrze uzbrojeni, dysponują kompanią ciężkich karabinów maszynowych, mają granatniki, posiadają spory zapas amunicji.

Nie mają artylerii, ale i nieprzyjaciel nie może jej całkowicie wykorzystać, gdyż zamała jest przestrzeń między jego stanowiskami a nacierającymi oddziałami powstańców.

Lecz nasi dowódcy nie umieją wykorzystać swojej siły ognia, ani zaszczytów swoim stanowisk nieprzyjacielskiej broni maszynowej, zmusić jej do milczenia przynajmniej na krótki czas, potrzebny oddziałom leśnym do przebiecia torów kolejowych.

Nadomiar złego natarcie oddziałów leśnych nie jest ściśle zsynchronizowane z uderzeniem oddziałów powstańczych ze Starówki, z którymi powinien się znaleźć oddział szturmowy kapitana Trzaski.

Tuż właśnie było najwięcej szans na zaskoczenie nieprzyjaciela przez wcześniejsze uderzenie oddziałów ze Starówki i związanie go i uwikłanie w walkę. Wtedy dopiero powinno nastąpić uderzenie oddziałów leśnych przez tory. Nieprzyjaciel wzięty w dwa ognie nie wytrzymałby chyba uderzenia.

Tymczasem uderzenie powstańców ze Starówki ruszyło po załamaniu natarcia oddziałów leśnych z Żoliborza i nieprzyjaciel bez obawy mógł przenieść ogień artylerii i swoich oddziałów na oddziały ze Starówki. Natarcie oddziałów ze Starówki też nie było przygotowane, bo zorganizowane zbyt szybko.

Dowódcy nie mieli możności przeprowadzenia rozpoznania terenu. Przewadzili oddziały na ślepo.

**

Wielkie błędy dowództwa zostały okupione krwią około 500 zabitych i rannych chłopców i dziewcząt, najbardziej ofiarnych i dzielnych.

Wielkie straty wśród oficerów i ubytek w broni uczyniły oddziały leśne niezdolne już do żadnej większej akcji bojowej.

„Żołnierz traci ducha po atakach, z których niewiele powraca... Żołnierz jest wyczerpany moralnie i fizycznie...” meldował porucznik Witold, po powrocie do puszczy.

Można zaryzykować twierdzenie, że nieudanie się tej akcji, przesądziło los powstania i całej naszej stolicy...

Stanisław Podlewski

Feliks Gwiżdż

Ballada o Hondrasie Czujka

Pamięci Józefiny z Machayów Miłkowej, córki ludu orawskiego, Męczennicy więzionej przez Niemców.

Nie było i nie będzie już takiego ujka, jak mój ujek z Orawy, dzielny Hondras Czujka.

Nie zagrzewał on miejsca, zwędrował kęs świata, z dawną szła o nim słyna: Hondras? Hondras lata.

Był w Peszcie i Pittsburgu, na Saksach z pięć razy, jeździł ładem i morzem, jak grał Esterhazy.

Gdzie przybywał, już z dala wszyscy go witali, bo był chłop ponad chłopcy, ze złota i stali.

Śmiał się tak, że i ludy z nim śmiać się musieli, gdy zaśpiewał, to śpiewał i tańczył świat cały.

Gdy górnikami był, węgiel sięgał aż do powal, gdy się zabrał do pluga, to nikt nie głodował.

Hej! nie było, nie będzie już takiego ujka, jak mój ujek z Orawy, dzielny Hondras Czujka.

I na starość, choć kwękał, że go w polach łamie — nie usiedziało on w domu, krążył po Orawie.

Fajka w zębach, kłęb dymu ciągnie za nim smuga, gdy szedł i na Podhale z serdeczną posługą.

Wdowie, co się trudziła aż siedmiorgiem dzieci, wieść przynosił, że wszystkim dobra gwiazda świeci.

W starych księgach wyczytał nawet i to jeszcze, że już się rozluźniają wszelkiej nędzy kleszcze.

Wśród górzan w Odrowążu ulagodził sprawy o spólnoty na łakach i wypas olawy.

By ze zwad nie został ni śladu, ni znaku, napchał wszystkim do fajek tegoż tabaku —

Ulga weszła do izby, niepomna już bojęw — dym się uniosł ofiarny z ich fajek pokoju.

W Chyżnem gazdów wychwałił w pogwarce wesołej, że mają najpiękniejsze, jakie widział — woly.

U Gajniaka w Jablonce, w Podszklu u Buławy wspólnie, we trój zdajali zegar, godzin sławy,

Pracowali trzy roczki, żyli, rzekłbyś, szeptem i zmałstrowali cudo, ale sedno nie w tym —

Kółka, klinki, sprężynki, wszystko było z drzewa — sedno w tym, że ten zegar, choć drewniany — śpiewa.

O świtanu, gdy czas już wstawać do roboty, w zegarze zadudniało, jakby były młoty —

Uchyliły się drzewiczki pod gruszkową tarczę i wyszedł przed nie gazda jagnięciem obarczon.

I hymnem ludu: „Kiedy ranne wstają zorze” Bogu pokłon oddawał, jak ziemia i morze.

Mistrzowie we trój stali, zdjąwszy z głów kłobuki i wielbili w skupieniu dar radosnej sztuki.

Po czym Hondras przejęty przerwał błogą ciszę i rzekł: — słuchajcie, bracia, bo głos serca słyszę.

Nie byłoby to dzieło dziełem doskonałym, gdybyśmy zysk zeń mieli, jak pustą chwałę —

Dać je musimy w darze i wiem ją już, komu — lecz jak to zrobić, nie wiem pustka w owym domu.

Zmiarkowali mistrzowie, o czym Hondras prawie — przygięły się ich głowy, zalali się łzami.

— Choćbyś miał iść i lata przez góry — doliny, idź — odrzekł — i uciesz serce Józefiny.

Gdy ją za znojne trudy, za gorzkie męczarnie Lipnica Wielka w niebie do siebie przygarnie —

Niech tam ten zegar śpiewa — Zegar Józefiny — niech wydzwaniał Jej wieczne radosne godziny.

Poszedł Hondras, nie wraca pięć lat mijają prawie — pewnie został z zegarem w niebieskiej Orawie.

Hej! nie było, nie będzie już takiego ujka, jak mój ujek z Orawy, dzielny Hondras Czujka.

FELIKS GWIŹDŹ

Nagroda „Odrodzenia”

Mieczysław Jastrun otrzymał na grodzie „Odrodzenia”. Jury nagrody „Odrodzenia” w składzie: Jerzy Andrzejewski, Tadeusz Breza, Zofia Dembińska, Jarosław Iwaszkiewicz, Karol Kuryluk, Zofia Nałkowska i Stefan Żółkiewski na posiedzeniu w dniu 19 lipca 1949 r. uznało większością głosów za najwybitniejszą pozycję literacką ostatniego roku powieść biograficzną Mieczysława Jastruna „Mickiewicz” oraz postanowiło przyznać mu tegoroczną nagrodę „Odrodzenia” w wysokości 250.000 zł. Konkandydatem do nagrody był Adolf Rudnicki autor „Ucieczki z Jasnej Polany”.

Poza tym wyróżniono następujące książki, które podajemy w porządku alfabetycznym: Helena Bo-

guszevska — „Żelazna kurtyna”; Tadeusz Borowski — „Kamienny świat”; Kazimierz Brandys „Aty-gona”; Stanisław Dygat „Pola Eli zejskie”; Paweł Hertz „Portret Słowackiego”; Juliusz Kleiner „Mickiewicz”; Jan Kott „Szkoła klasyków”; Izydor Koszykowski „Dziecko ulicy”; Władysław Kowalski „Dalekie i bliskie”; Waclaw Kubacki „Pierwiosniki polskiego romantyzmu”; Ryszard Matuszewski „Literatura po wojnie”; Kazimierz Wyka „Pogranicze powieści”; Adam Ważyk „W stronę humanizmu”.

Wymienieni w dyskusji: Józef Bok „Na Uralu”; Karol Bunsch „Dziedzictwo”; Adolf Chybiński „Karłowicz”; Zdzisław Jachimiec „Chopin”; Aleksander Jackie-

wicz „Górnicy”; Kazimierz Koźniewski „Żywioty” i „T. T. Jeź”; Irena Krzywicka „Bunt Kamila Martena”; Ignacy Narbutt „Filiponka”; Tadeusz Peiper „Krzyżostof Kolumb odkrywca”; Witold Rudziński „Muzyka dla wszystkich”; Adolf Sowiński „Ks. Sciegienny”.

Przypominamy, że nagrodę „Odrodzenia” ufundowała w 1945 roku Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik” i że pierwszym jej laureatem był Tadeusz Breza, autor „Murów Jerycha”, następnie zaś w r. 1947 Jarosław Iwaszkiewicz za „Nowele włoskie” i „Nową miłość”, w r. 1948 — Jerzy Andrzejewski za powieść „Popiół i diament”.